

9.10
 Nazywam się Zbigniew Myślicki, urodziłem się w Grodnie w roku 1932. Moi rodzice poznali się na Kujawach, gdzie pracowali jako nauczyciele. Później w ramach apelu Rządu RP, aby jechać na ~~kręsy~~ ^{kręsy}, i tam zakładać szkoły, ~~pojechali~~ w 1921 ~~kręsy~~ osiedli w Grodnie. W 1922 roku pobrali się. Ojciec był matematykiem, po Uniwersytecie ⁹ Petersburskim, objął stanowisko dyrektora gimnazjum męskiego Polskiej Macierzy Szkolnej w Grodnie. Mama też była matematyczką, po studium pedagogicznym, o ile się ^{nie} ~~myślę~~ ^{myślę} ~~rys~~ ^{rys}kim; objęła funkcję ^{nauczycielki} profesorki, jak się wówczas mówiło, w gimnazjum i liceum ~~Żeńskiego~~ ~~w Grodnie~~ im. Emilii Plater w Grodnie. ~~Mieli~~ Mieli troje dzieci - najstarsza ^{młoda} siostra Jadwiga, urodzona w roku 1923, następna Grażyna w 1924 i ja w roku 1932. Mieszkaliśmy w Grodnie szczęśliwie do roku 1940. Z rzeczy nieprzyjemnych w naszej rodzinie - była ~~to~~ śmierć najstarszej siostry w 1936 roku, podczas operacji ~~na~~ ślepej kiszki ^{na} zapalenie otrzewnej. Następnie wszystko przebiegało zgodnie z planami, z postępem, z rozwojem. Było to naprawdę szczęśliwe dzieciństwo.

W 1939 roku 18 września przed bramami Grodna stanęły dywizje Armii Czerwonej i ^{po} krwawych bojach, według wielu świadków ~~z~~ jednych z najcięższych, a Grodno było jednym z najdłużej broniących się miast - w nocy z 21 na 22 września Armia Czerwona zajęła miasto. Jako syn nauczyciela poszedłem wcześniej do szkoły i w roku 38 chodziłem do klasy I. Do II klasy już nie poszedłem gdyż we wrześniu 39 szkoły się nie rozpoczęły. Poszedłem do szkoły dopiero w październiku, znowu do klasy pierwszej, bo tam była reforma szkolnictwa. Wszyscy zostaliśmy zgromadzeni w jednej z bardzo małych szkół, w szkole im. Królowej Jadwigi na ul. Północnej w Grodnie. Stłoczeni, uczyliśmy się na zmianę, jak to przyjęte jest w Rosji, w warunkach koszmarnych, na podręcznikach z powycinanymi zdjęciami wielkich Polaków, ze skreśleniami nazwisk, wszelkich spraw ~~x~~ mówiących o naszej wielkości, o państwowości polskiej.

I/551

~~Kto uczył i kto dokonywał tych zmian?~~

- Uczyli nauczyciele polscy. Podręczniki były specjalnie przygotowane, preparowane, musieliśmy je wszystkie zdać i dostaliśmy je dopiero po tygodniu. Nie mogę powiedzieć, kto się tym zajmował. Grodno było bardzo zżydzone i Żydzi bardzo mile witali Rosjan, było sporo i innych szpiegów, prawdopodobnie finansowanych przez Rosjan, kolaborantów, którzy później bardzo chętnie współpracowali i przede wszystkim donosili. Zrobili najwięcej szkody właśnie inteligencji polskiej, która na tych terenach mieszkała. Utworzono milicję z tych ludzi, chodzili z czerwonymi opaskami, byli opiekunami w różnych instytucjach, likwidatorami tych instytucji. W każdej instytucji znalazł się ktoś, kto poszedł na współpracę ze Związkiem Radzieckim. W szkole też.

Trudno mi dokładniej opisać szkołę, ~~ja~~ słabo to pamiętam. Lepiej pamiętam poprzedni rok, rok 39 wyparłem z pamięci.

Potem zaczęły na nas spadać ciosy. 5 października, w 2 tygodnie od wkroczenia Rosjan, ^{mojego} ojca aresztowano. Ja byłem w domu, przyszło 2 benkawudzystów, ^{czy 3} zapytali o ojca. Powiedzieliśmy, że jest w szkole, pojechali, przywieźli ^{go} ~~ojca~~, zrobili w domu rewizję i ojca zabrali. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Mamy nie było w domu. Ślad od tej pory po ojcu zaginął. Udało się nam ustalić, że jak przyszli Niemcy i rozbili więzienie w Grodnie, wyrzucili akta rosyjskie. I ludzie, którzy nas znali, a znało nas prawie całe Grodno, znaleźli je. Nasza niania i gospośia, która została w Grodnie po naszym wywiezieniu, przywiozła nam potem te akty - kartę więzienną mam do dziś w domu. Tam jest napisane, że dostał 25 lat - był działaczem OZON-u, opluwanego przez ówczesny reżim radziecki. Napisane też było, że w czerwcu 40 roku, czyli na rok przed wojną z Niemcami, został przeniesiony do Mińska. A jak wiemy, z Mińska z więzienia nikt do tej pory

nie wyszedł, nie ocalał. Nasze starania i w armii Andersa, i u Sikorskiego, i we władzach u ~~Erii~~ Berii w NKWD, i przez Czerwony Krzyż - siostra w 46 roku pracowała w Czerwonym Krzyżu, więc zrobiła bardzo wiele - wysyłaliśmy do wszelkich jednostek na Zachodzie, i w Stanach, ~~W~~ wszędzie mamy odpowiedź: nie znamy, i nie znał go nikt. Jedyną wiadomością ~~była~~ ^{znalezioną u} książeczkę p. Karola Liszewskiego "Wojna polsko-sowiecka" 1939", ~~gdzie~~ ^{który} na stronie 75 wspomina mojego ojca. Napisałem do niego, może on się z kimś zetknął, kto ojca znał. Odpowiedzi nie ma, choć nie jestem pewien, czy list doszedł. ~~Wjeh~~

Gdy ojca aresztowano, zostaliśmy sami. Mama chodziła do prokuratorów i prokurator pewnego dnia powiedział: „Myślicki jest właśnie zwolniony z więzienia”. Mama uradowana przybiegła do domu: Nie ma ojca, nie ma... Później opowiedziano, że jak ich przygotowano do zwolnienia, jeden z Żydów, którzy byli w straży, mówi: „co wy, Myślickiego zwalnacie?” I ojca z tego szeregu wycofano do więzienia. Dalszych losów nie znamy. Tak opowiadali ludzie zwolnieni tego dnia.

~~W latach 1942-1943 w okresie 40 roku~~ Chodziłem dalej do szkoły, mama nadal była nauczycielką. W domu mieliśmy pięć pokoi, zimnych, okropnych, ale były; ogromna kuchnia, duża łazienka z cynową wanną, z piecem na węgiel - było to duże. Przyjeśliśmy po zaaresztowaniu ojca ^{z mamy} dyrektorke/gimnazjum, panią Niedźwiedzką; i ją aresztowano, inwalidkę, kulawą, starszą panią. O niej wiemy, że umarła w więzieniu w Mińsku, przyszło oficjalne zawiadomienie. Następnie przyszedł do nas jeden z lejtnantów na kwaterę, sprowadził żonę, która przyjechała z córką Lubą, druga córka Maja późniejszą się tam urodziła. Nie można powiedzieć, żeby oni... no, byli po prostu źle wychowani, prości, ale zachowywali się, jak umieli najlepiej i starali się jak mogli. Jak nas wywozili, to

lejtnantowa stała na ganku i rozpaczła. Jej mąż miał takiego pecha, że go wzięto na wojnę radziecko-fińską. O tej wojnie teraz się prawie nie pisze, zaczęła²⁷ w roku 39 i skończyła ~~14~~ wielką klęską Rosjan. Czy wrócił⁷ on, z ~~więziennic~~^{z tej wojny} - nie wiem, kompletnie mnie to nie interesowało.

W nocy z 12 z 13 kwietnia przyszło do nas 3 enkawudzistów, dwóch podoficerów z krótką bronią i jeden z długą, stał przy drzwiach. Mnie obudzono bardzo późno, mama nie chciała mnie budzić; już było prawie wszystko zapakowane. Powiedziano mi, że zabierają nas i ~~nas~~ wywożą. Dla mnie, ośmioletniego, może to była i atrakcja, zapakowałem swoje zabawki - nie pozwolono mi zabrać tylko pistoletów, miałem bardzo piękną kolekcję pistoletów bez iglic, prawdziwych; byłem członkiem Ligi Obrony Przeciwlotniczej /LOP/, miałem własną maskę przeciwgazową. Dziś[↑] przy wypełnianiu akt i ankiet, piszę: przed wojną przynależność do LOP-u. I rano załadowano nas do samochodów, pozwolono nam zabrać ^{z domu} 50 kg na osobę. Mama była zaskoczona, nie przygotowana, Była ta gosposia, o której wspominałem, Teofila Gryszkian, i była druga, która nocowała u nas tego dnia, /bona - mieliśmy prócz tego kucharkę, nauczycielom przed wojną powodziło się dobrze - ~~na~~ Jadwiga Wierzel, mieszka w tej chwili w Ostrowcu Świętokrzyskim. Przypadek zrzędził, że ci nasi, dobrzy enkawudziści ~~mieszkańcy~~ nie zabrali tych dwóch pań z nami, były wypadki, że zabierano wszystkich obecnych w domu, a ci stosowali się do listy, na której była tylko mama i nas dwoje z siostrą. Mama pakowała się jak na wakacje, same letnie rzeczy zabrała. Zapakowan^o nas^z do ciężarówki i zawieszono na dworzec, gdzie zapakowano nas do bydłowych wagonów. Ładowano nas po 8 -10 rodzin. W wagonie były piętrowe nary z dwóch stron, na nich słoma, leżeliśmy pokotem jeden obok drugiego. Pociąg stał w Grodnie 3 dni. Jeszcze nam gosposia przyniosła jedzenia, przerwała się przez te kordony, Polacy są jednak sprytni, pewne rzeczy nam podrzucono.

W Grodnie zostawiliśmy wszystko.

W Wagonie było około 30 osób. Jechali z nami Marchwiccy, jechała rodzina takiego lekarza żydowskiego z Warszawy, on akurat tu przyjechał i był u matki; jechała z nami pani Krycińska, ~~żona~~ żona porucznika Henryka Krycińskiego, zamordowanego w Katyniu w kwietniu 40 roku, która bardzo zaprzyjaźniła się z mamą i była z nami cały czas w Kazachstanie, ~~był~~ z najmłodszym Jurkiem Krycińskim, synem, /urodzonym chyba w roku 27. Razem z nią stanowiliśmy jak jedną rodzinę. On w 42 roku w lutym w pierwszym rzucie poszedł z armią Andersa, w tej chwili mieszka w Ameryce, dokąd przeniósł się z Anglii, ze Szkocji, gdzie ożenił się po wojnie. Był uczestnikiem pierwszej linii w bitwie pod Monte Cassino.

Po trzech dniach pociąg ruszył na wschód i rósł z każdą stacją - Słoniń, Lida, Baranowicze, Stołpce. Osiągnął maksymalną długość, jaką mógł uciągnąć parowóz. Skierowaliśmy się w kierunku Homla.

Dojechaliśmy do Homla. Nie pamiętam dokładnie stacji przeładunkowej, ale przeładowano nas na szerokie tory, do trochę obszerniejszych wagonów. Stała w wagonie taka koza do ogrzewania, a za dyktą była ~~taka~~ dziura w dnie wagonu jako ubikacja. Jechaliśmy w wagonach zamkniętych i do dzisiaj pamiętam zasuwanie tych drzwi na rolkach i ~~zak~~ trzaskanie skoblem, okna zakratowane. Normalnie, tak, jak żeśmy zasłużyli na to, prawdopodobnie, Polacy. Dawano nam ^{na stacjach} jeść - zupę i wrzątek. To było nieregularnie, ale nie byliśmy głodni, zresztą mieliśmy jeszcze trochę swojego ~~xx~~ jedzenia. Ten fragment trasy pamiętam najmniej. Moja siostra spisywała dziennik z podróży, więc uważaliśmy, że to nie~~x~~ zaginie. Niestety, dziennik zaginął, choć jest pewna szansa odnalezienia go, został pożyczony osobie, która zmarła. To był zeszyt w 3 linie, do pierwszej klasy.

Jechaliśmy do drugiego lub trzeciego maja. Raz zatrzymano nas w polu i otoczono całą dużą łęką konwojentami i wypuszczono cały transport na spacer. Chodziliśmy tam w kółeczko ze dwie godziny. Najgorsze, szczególnie dla młodych kobiet, było załatwianie swoich potrzeb, bo puszczano tylko pod wagony. Pociąg się zatrzymywał - to było jeszcze po polskiej stronie, tam, gdzie nie było tych ubikacji w wagonach i stawali ci konwojenci, przy wagonach, jeden na trzy wagony, więc gęsto, i trzeba było to załatwiać pod wagonem. To było nie do przyjęcia przez młodzież, przez młode panie szczególnie, w roku 1940.

Transport nasz jechał przez takie miasta, jak ~~Kuznecy~~, Woroneż, Kazań, gdzie przekroczyliśmy Wołgę, następnie skierowaliśmy się na Swierdłowsk, potem przekroczyliśmy Ural, przy tym słynnym kamieniu Europa-Azja, co nas raczej zatrwożyło niż ucieszyło, tak jak ~~u~~ Przewalskiego, odwrotnie. Skierowaliśmy się na Pietropawłowsk, tu transport zwolnił. Dojechaliśmy do stacji ^{Szortandy (Šortandy)} Szortandy, która leżała w obłosti Akmolinsk, teraz to się nazywa ^{Celinograd} Celinograd. Tam nas wyładowano na rampę, podjechały ZIS-5, ciężarówki, /jeszcze nie było wojny radziecko-niemieckiej, i ciężarówki jeszcze były. Przewieziono nas do tzw. pasiołka, czyli osady nr 40, kolchozu o nazwie "Bajkałski". Ta nazwa wywodziła się od pierwszych przesiedleńców zza Bajkału przesiedlonych w odwrotną stronę, niż my, na Kazachstan. To byli Rosjanie, Sybiracy mieszkający koło Irkucka, koło ^{Čikoj (=Gikoj)-2} Cziki/?/. Oni właśnie na pewno zbudowali ten pasiołek. Przydzielono nas z mamą, siostrą i panią Krycińską z synem do chałupy jednoizbowej, z glinianą podłogą, do wdowy, której nazwiska nie pamiętam. Jej syn Wasia miał około dwudziestu paru lat, pracował jako traktorzysta w kolchozie. I wszyscy w tej jednej izbie

mieszkaliśmy.

Następnego dnia wszyscy oprócz mnie, bo ja byłem nieletni, miałem 8 lat, poszli do pracy. To był maj, więc dopiero co śniegi zeszkły. Trzeba było czyścić pory, przygotowywać siewy, łąki na pastwiska.

Ale tam, na szczęście, byliśmy ~~tam~~ krótko. Po trzech może tygodniach, w każdym razie na pewno w czerwcu, przyjechały ciężarówki i nas około 10 rodzin przerzucono do innej miejscowości, odległej około 30 km. Przywieziono nas tym razem do sowchozu, państwowego gospodarstwa, co było właściwie na tamte czasy czymś fantastycznym, bo pozwoliło nam przeżyć.

Przywieziono nas tam pod wieczór - jeszcze zegarki mieliśmy, ale potem się popsuky i nie mieliśmy, a pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca. Wykładano nas przed ziemianką, chatką do połowy, na półtora metra zanurzoną w ziemi i z wykopanej darni, te kosteczki gliny obrośniętej darnią, postawiono ~~te~~ następne ^{te} pięćdziesiąt centymetrów, okieneczka takie malutkie, z jakimś tam szkłem, przykryte wszystko mieszanką słomy z gliną, rzuconymi na gałęzie. To był dość izolujący materiał, tyle, że kapalo, jak rozmyło.

Myśmy się zbuntowali. Powiedzieliśmy, że się nie wykładujemy, w te nasze 4 rodziny; zrobiliśmy bunt. To był pierwszy strajk Polaków na ziemi radzieckiej. Więc nas wieziono pod barak kierownika, gdzieś z powrotem. Pan Korecki z Grodna, uroczy człowiek, z żoną sparaliżowaną i synem, kolegą z mojego rocznika, z którym zaprzyjaźniliśmy się, wysiadł, wszedł do tej lepianki i tam się rozlokował. Natomiast nas zawieziono na centralny plac koło stółki - wszystko to były baraki - i spaliśmy całą noc na ziemi.

Następnego dnia poczuliśmy się nieswojo - ludzie patrzą, dzieciaki podlatują. Oczywiście, wszędzie było pełno dzieci, które wołały: polski pan! , co nie przeszkadzało im żebrać. Jak jecha-

liśmy w transporcie, pamiętam to jak dzisiaj, widzieliśmy żebrzące dzieci. Przychodziły pod pociąg, bose, w łachmanach, proszące o byle co, o kopiejkę, o cukierka, o kawałek chleba; przeważnie o chleb. Głodne dzieci. I to samo było w tym sowchozie.

Przenieśliśmy się do stołówki, w stołówce - był to pokój z drewnianą podłogą, luksus, to był jeden z nielicznych baraków z podłogą i tam mieliśmy do spania tapczany. To były trójnogi, na których leżały deski, zbijane dechy. ~~W~~ Był tapczan czteroosobowy, na którym spała moja mama, siostra, pani Krycińska i ja. Był jeszcze drugi tapczan, jednoosobowy i tam spał Jurek Kryciński jako dorosły. Parę dni mieszkaliśmy w tej stołówce. Na tapczanie leżały sienniki ze słomą, myśmy mieli swoją pościel, prześcieradła i kocę, była też jedna kołdra chyba.

Po paru dniach otrzymaliśmy lokum w takim wielkim baraku, który w Polsce nazywało się czworaki. Ale czworaki to byłyby wielki luksus, cztery gwiazdki w porównaniu z tym, co myśmy dostali. Na te 5 osób dostaliśmy izdebkę z eleganckim glinianym piecem na środku, z glinianą podłogą, z oknami posklejonymi z kawałków szyb, bo bałych szyb nie można tam było nigdy dostać.

Tam mieszkaliśmy dwa lata, ^{potem przenieśliśmy się} ~~vis-à-vis~~, do większego takiego pomieszczenia, ale tam przyjęliśmy jeszcze jedną panią z synem i jedną Polkę, która owdowiała, ale wtedy już nie było Jurka.

Otrzymaliśmy więc nasze M-1 na 5 osób i zaczęliśmy sześciolatek w tym sowchozie.

Topografia

Nasz ziarno-sowchoz /produkcja zboża/ nazywał się Kaszyk. To skrót od Kazachski Centralnyj Ispolnitielnyj Komitet, Kazaski Centralny Komitet Wykonawczy, czyli KC kazaskiej partii. Centrala sowchozu oddalona była o 18 km, dalsze 18 km dzieliło nas od stacji kolejowej Szortanda. Przez 6 lat nigdy nie byłem na stacji i nie widziałem pociągu.

grawd. bozmiemie Kazachskii -
w syzylie - Szortandy (stacja)

Zobaczyłem pociąg dopiero wracając do Polski, jako piętnastoletni chłopak /1 metr 50 cm wzrostu/. W centrali znajdowała się dyrekcja, główne warsztaty, elektrownia dieslowska, sklep-piekarnia, szkoła 10-letnia, szpital, ^{poczta.} Oczywiście, było bardzo dużo Polaków, ~~na~~ nasz transport rozrzucono po ~~złaz~~ całym ~~Pa-~~ zachstanie i ~~grodni~~ mieszkali w tej centrali. Myśmy byli w oddzieleniu numer 2; w ramach zespołu tych jakby PGR-ów, myśmy byli w oddziale 2. Oddzielenij było 4, ^{numer} 1 - oddalone 5 km od nas, ^{numer} 2 - to my, ^{numer} 3 - oddalone o 16 km i ^{0/4} 5 jeszcze ^{0/4} km dalej. Numeru 4 nie było, zbudowano je ^{w roku 43, oddalone} później około 40 km, w każdym razie w ciągu jednego dnia nie można było obrócić wołami, nie bardzo je pamiętam. Każde oddzielenie uprawiało pewien obszar ziemi. Myśmy mieli na oko około 200 km², chociaż nie każde pole obrabiano co roku. Każde oddzielenie miało przydzielone swoje traktory, swoje kombajny, pługi, które co roku wymieniano; było coraz mniej sprzętu, bo się psuły ^{i zabrano go na wojnę}, a ten, co był, to cały był na licencji amerykańskiej, kombajny Oliviera, z silnikami Herkulesa. Później zamieniono je na stalince. Traktory ^{to} były Stalincy z zakładów CZTZ, czyli Czelabinskij Traktornyj Zawod, na gąsienicach, bardzo mocne, z silnikami benzynowymi na licencji amerykańskiej.

To nie była dobra organizacja pracy. Zamawialiśmy 10 traktorów, dostawialiśmy 4. Nigdy nie było wiadomo, czy w przyszłym roku dostaniemy to, co mieliśmy w tym roku. Kombajny jechały do centrali na remonty i potem dostawało się przypadkowo, nie to, co się oddało i nie to, czego się potrzebowało.

Nasze oddzielenie znajdowało się w stepie. Najbliższy lasek brzozowy znajdował się ^{odległość 18 km} w centrali. Tutaj był równy step, poprzecinany jedynie tzw. bałkami, czyli wąwozami, jarami, o bardzo łagodnych stokach, łatwy do przejechania wozem. Nie było nigdzie żadnego zbiornika wody, żadnej rzeczki. Woda tajała ze śniegu.

Koło nas była tylko tzw. pieriemyczka, to znaczy w wąwoziku był zrobiony wał z gliny, zapora, i myśmy mieli tyle wody, ile zdołaliśmy jej zatrzymać w czasie roztopów. To był język wody, malutki zalewik. W tej wodzie się prało, myło, kąpało i brało ją do picia, poiko się bydło. Tej wody wystarczało do lutego, do marca. Potem pokazywało się dno. W zimie cały czas topiliśmy śnieg, w rezultacie mieliśmy wodę prawie destylowaną, pozbawioną składników mineralnych, świetną do mycia głowy, gorszą do picia i jedzenia. Tąpący się śnieg odbierał ciepło z pomieszczenia, co było kolejną wadą uzyskiwanej w ten sposób wody. Śnieg był czyściutki, ochrona środowiska idealna, nie było nic, co mogłoby go zabrudzić. Paliło się w domach nawozem.

Mieszkaliśmy na tym samym równoleżniku, co Warszawa. W linii prostej 8 tysięcy km *na wschód*.

Klimat

Klimat był czysto kontynentalny, tzn. ciśnienie jednakowe, opadów w lecie bardzo mało, w zimie bardzo dużo. Wiosna rozpoczynała się nagle i w ostatnim roku naszego pobytu pierwszy dzień wiosny przypadał 9 kwietnia, co dobrze pamiętam, bo był to dzień zawiadomienia nas o wyjeździe. Jeżeli puścił mróz, to nie wracał, nie było przymrozków wiosennych. Szło na ciepło, jak się to mówiło i do końca maja śnieg schodził. Był jeszcze w czerwcu pod nawozem, pod sianem, jak się bardzo chciało, można go było znaleźć. Słońce było gorące. Różnice temperatur rocznych były -52°C *zimą* a najwyższa *latem* $+40^{\circ}\text{C}$, w każdym razie upał był taki, że woły nie mogły pracować, dzięki temu i my. Po zejściu śniegów, gdy rozpoczynały się siewy, step zakwitał jak dywan. To było wspaniałe. Soczysta zieleń, pokryta kępami różnokolorowych kwiatów, były tam wszystkie kwiaty świata w miniaturze.

Były malutkie tulipany, malutkie bławatki i sasaneczki, dzwonczki, coś niesamowitego. Trwało to niestety bardzo krótko, od czerwca słońce przypalało, wypalało step, step robił się pustynią, żółką. Górował nad nim ~~kawyl~~^{flou}, czyli trawę wysokości jęczmienia, zakończona na szczycie białymi pióropuszcami. Jak wiały wiatry, to wyglądało jak morze. Ziemia była popękana od upału, nigdzie nie było wody i na stepie praca była bardzo trudna, żadnego cienia, trzeba było chować się pod wóz. Sialiśmy od połowy maja do połowy czerwca. Żniwa zaczynały się w połowie sierpnia i kończyły się z pierwszym śniegiem, który spadał w połowie października. Albo się zebrało, albo nie. Od października, jak przyszedł mróz i spadł śnieg, wiadomo było, że do kwietnia nie puści. Przychodziła zima, najcięższa zima, jaka może być, tylko że jak był duży mróz, nie było wiatru, a jak był wiatr, to mróz trochę był lżejszy.

Najgorsze w zimie były tzw. burany, burze śniegowe. Buran to zamieć z gęstego śniegu, wieje wiatr, ściana śniegu w ruchu i jeżeli kogoś taki buran zastał w stepie na trasie, to nie miał żadnych szans przeżycia. Buran trwał 4 - 6 dni, zasypywał całkowicie nasze lepianki, ~~z~~^z dachem. Po buranie ci, co się ~~z~~^z odkopali pierwsi, odkopywali innych, robiło się tunele do drzwi, do okien, żeby było światło. W czasie buranu pracowali tylko ci, co obsługiwali bydło, reszta siedziała z musu w domu, było dosyć ciepło. Trzeba było mieć na wypadek buranu zgromadzone pod drzwiami opał. Urządzeń sanitarnych w żadnym baraku nie było. Była gliniana ubikacja na peryferiach, ale chodziło się po prostu w step. W stepie nic nie zagradzało widoku, można było odejść kilometr i było widać osiedle. W czasie dobrej pogody były zjawiska ciekawe w rodzaju fata-morgany, choć nieco innego rodzaju. Widać było

osiedla oddalone około 30 - 40 km, podniesione jakby nad horyzontem. Była jakby warstwa wody, jak dziś na asfalcie w czasie ładnej pogody i had tym widać było domy czy las. Do tego się przyzwyczailiśmy. Raz była zorza polarna, bardzo ładna; raz były dwa słońca - słońce wschodziło i zachodziło jednocześnie. Oczywiście, złudzenie. Czyste, nagrzane, albo zmrożone powietrze. Noc jedna się zdarzyła tak ciemna, że nie widać było nic, ludzie zabłądzili wracając z pracy. Było ciepło, pochmurnie, czarna smoła.

Na wiosnę spadał deszcz, jeżeli spadek choć raz - a były ^{we} bardzo obfite - w okresie od czerwca do lipca, ^{to} był bardzo duży urodzaj, którego nie zdążyło się zebrać. Jeżeli była susza, ^{atak} było w roku 42 i 44, to był nieurodzaj, zboże było jak słupy telegraficzne, co kilometr kłosek. Zabrano jeszcze z powodu wojny sprzęt mechaniczny, nie można było obrobić tyle ziemi, co trzeba, myśmy siali nawet na rżysku. Jak nie było czym orać, traktory stały popsute, stwierdzono, że trzeba siać w rżysko. Posialiśmy. Przyszedł agronom, poszedł po rozum do głowy i kazał spalić rżysko, bo ono przeszkadza. I spalono cały zasiew razem z rżyskiem, a do tego ludzie popęszyli się gorącymi bronami, na których ^{zdarzyły się} ~~jechałi~~, ~~oszpecenia~~, ^u parę kobiet. Jechało się i podpalało się rżysko. Śmiertelnych wypadków nie było.

Jeżeli nie zdążyło się zebrać, zboże zostawało pod śniegiem. Była licencja amerykańska na pszenicę, zwaną Gardeform - za pszenica nie wysypywała się pod śniegiem. Wysypywała się natomiast pszenica czerwona, radziecka i jęczmień, żyto. Pszenica - gospodarka zasiewów była prowadzona w bardzo zmyślny sposób. Kołchozy uprawiały pszenicę czerwoną, bez ostrych igiełek na kłoskach, a sowchozy białą, piękną, ^{której} ziarnka były wielkości prażonego ryżu.

Żeby przeżyć, trzeba było kraść. Myśmy kradli pszenicę białą, bo przy niej pracowaliśmy. Natomiast w kolchozach można było kupić i wymienić - bo urodzaj był tak ogromny w 38 roku, że ^{węzaryny} miały tę pszenicę, jak myśmy przyjechali, jeszcze w roku 40 i 41, i - ^{od piżamy} za pasek jedwabny/z kutasikami można było dostać bardzo dużo pszenicy, za "tuflie" na wysokim "koblukie", czyli pantofle na ^{które tam wiedziano pierwszy raz,} wysokim obcasie też można było coś dostać. Więc myśmy w kolchozach wymieniali to na ^{nerwone} pszenicę. Natomiast kradliśmy naszą. Za kradzież pszenicy, nawet za kieszeń, groziła praca w tzw. trudarmii, czyli w armii pracy. Siedziało się wtedy w więzieniu i pracowało za darmo. Bo w sowchozie nam płacono.

Po żniwach przychodziła milicja, dziobała w nasze stogi słomy, bo słomę chowaliśmy przecież na opał. Dziobali specjalnymi hakami, wbijał i jak trafił na worek, to wyciągał go tym hakiem. Szukali w domu. I myśmy mieli opracowaną całą technologię - to, co ukradliśmy, musieliśmy w nocy zemleć i mieć mąkę. Mąka była jednakowa jedna i druga i do mąki się nie czepiali. No, ale czasu na wypoczynek po pracy, ponieważ pracowaliśmy od świtu do nocy, wtedy nie było wcale. W ciągu żniw trzeba było sobie nagromadzić tej mąki na cały następny rok. Pszenicę przechowywano do następnego siewu w spichlerzu. Spichlerz był gliniany, zawsze można było rąbnąć młotkiem, zrobić dziurę i wejść tam, wziąć, ile można. Pan Korecki wszedł kiedyś tam w czasie żniw - był nocnym stróżem - nagarnął do woreczka, wrócił i zostawił tam czapkę, która muspadła. Nazajutrz wrócił, czapkę już znaleziono. Poznali ją, bo przecież w osiedlu nie było więcej niż 200 osób i momentalnie zabrano go do trudarmii. Pracował tam 3 miesiące. Kiedy wracał, był tak zmęczony, że zasnął na stacji i ukradziono mu spodnie, wrócił w ~~san~~ych kalesonach.

To brzmi dzisiaj humorystycznie, ale to były sprawy tragiczne. Moja siostra również jadąc z pracy nabrała woreczek ~~spz~~ pszenicy i zgubiła go. A worek był z paczki, z nazwiskiem Myślicki. Trafiała na takiego, który nie doniósł, tylko kazał wysypać. Moją siostrę złapano kilka razy przy kradzieży, mnie raz. Ale też sobie poradziłem.

Temo ~~przebieg~~ osiedla Mieszkańcy

Jak przyjechaliśmy, było tam 5 baraków z dachami spadzistymi, jak czworaki i 8 lepianek. Ludność - z Polaków były 4 rodziny, przesiedlone w 22 roku z terenów ówczesnych republik radzieckich, spod M₁ńska, spod Kijowa, wysiedleni na Kazachstan. Byli Koreańczycy, wysiedleni z Sachalina, połowa Sachalina była japońska, połowa rosyjska. Oni mieszkali właściwie w Astrachaniu, gdzie mieli swoją republikę autonomiczną, ale potem wywieziono ich jeszcze dalej. Byli Azerbejdżanie, sporo, dobrzy rzemieślnicy. Po nas przywieziono ~~Beskarabów~~ ^{z Rumii} Byli Rosjanie, zesłani z różnych okręgów. Na palcach można było policzyć Kazachów. Żyli w nielicznych aulach, prawdopodobnie wywieziono ich zupełnie gdzie indziej. Oni nie bardzo chcieli się poddać władzy radzieckiej, nie znali języka, hodowali owce czy wielbłądy. Myśmy nie mieli z nimi prawie żadnej styczności. Najciekawszymi ludźmi, jakich nam przywieziono, zresztą po wojnie, byli Inguszwowie i Czeczeńcy, górale kaukascy, którzy poszli na współpracę z Niemcami i za karę wywieziono ich wszystkich. Ingusze to była szlachta kaukaska, Czeczeni to był plebs. To było widać w ubiorach i obyczajach. Przywieźli po 4 żony, jako muzułmanie mieli haremy, wolno im było. Dostali po krowie, wolno im było zachować kindżały. Pobudowali sobie lepianki.

Tuż po wybuchu wojny przywieziono Niemców, była ^{niewiele} republika ^{ZSRR} koło Rostowa. Następnie byli Czuwasze, z północnej części, spod

Archangielska. Byli tu sami zesłańcy, żadnej ludności miejscowej.

Baraków było 4^x większe. ^{hórtep} (skotbaza, czyli obora, w której robocze były woły/i cielaki - nasz PGR zajmował się również hodowlą cieląt, albo na jałówki, albo na woły. Jak tam mieszkaliśmy, postawiliśmy 4 domy, normalne. W każdym była kuchnia i 2 izby. Jeden dom należał do naczelstwa i tam mieszkała rodzina zarządzającego. W pozostałych w każdym pomieszczeniu mieszkała jedna rodzina, ~~15~~ dwie, zesłańców. Ostatni dom nie był wykończony, nie zdążyliśmy położyć dachu i pomalować go białą gliną, do końca był czarny, ze zwykłej gliny. Białą glinę trzeba było przywieźć.

Następnie była mastierskaja, (warsztat) (kuźnia). Wybudowaliśmy ponadto banię, czyli łaźnię, z ogromnym kamieniskiem, na które lało się wodę, takie nary były z drzewa. Po wodę zimną wychodziło się na zewnątrz.

Rozmawialiśmy po rosyjsku i niestety pod koniec pobytu między sobą my, chłopcy, Polacy, rozmawialiśmy po rosyjsku. Ja nawet myślałem po rosyjsku, co było tragiczne.

Następnie był baraczek biurowy, z kancelarią, gdzie pracował buchalter, było biurko zarządzającego. Była też stajnia, pięć koni naszego naczelstwa i obsługi technicznej. Transport odbywał się wołami.

wyrok

Ja zapomniałem powiedzieć, że powiedzieli ~~nam~~ mojej mamie wtedy w Grodnie, że: jedzie pani do męża, on osiadł w Sowietском Союзе, ^{||} ^{||} nie mieliśmy przecież wszyscy obywatelstwo radzieckie. 13 kwietnia ^{40r} ^{||} ^{||} szedł transport rodzin osób aresztowanych. Bo 10 lutego 40 roku wywozili osadników, leśników, wszystkich z majątków, urzędników państwowych. A to było wyrokiem - być rodziną aresztowanego. Nieblagonadiożnyj - niebezpieczny dla władzy radzieckiej. Nas po prostu przesiedlano, powiedziano nam: na wsiegda, nikagda

nie wiernoties, przypominano nam o tym parę razy: a gdzie ^u ~~was~~ Polska, wy zdies zdochniecie. Oczywiście, byliśmy tam bez prawa poruszania się. Mogliśmy jechać do centrali, w rejonie też. W powiecie był powiatowy enkawudzista. Na stację nie było po co jeździć. Jeździliśmy do innych oddziałów, bo pomagaliśmy sobie wzajemnie, a ponadto po zaopatrzenie. Wszystko było w centrali: chleb, paliwa, szpital. Stosunki między Polakami były różne, ale w moim odczuciu nie były złe. Może były animozje na tle damsko-męskim, ale byłem daleki od tych spraw, nie pamiętam żadnych incydentów. Były owszem ukryte gierki, które wylazły, jak wracaliśmy. Otóż niektórzy Polacy wykombinowali sobie, że jeżeli podadzą narodowość ukraińską albo białoruską, to będzie dla nich lepiej. Rosjanie to wykorzystali i ci ludzie nie wrócili w pierwszym rzucie. Myśmy za każdym razem musieliśmy udowadniać swoje obywatelstwo, bo je nam zmieniano co chwila. Z Anderssem przyszło polskie obywatelstwo, po Katyniu znowu radziecki, przyszedł Berling, znowu polskie. I za każdym razem trzeba było dawać jakieś papiery. Ile tych papierów w końcu można było mieć! Całe szczęście, że była jedna metryka, druga, do mojej mamy przyszedł raz telegram z Milanówka, rok szedł, że przyjeżdżajcie do nas. Akurat to mieliśmy i zawsze byliśmy Polakami. Natomiast zostały takie rodziny, o których nigdy nie przypuszczałem, że oni się podali za Białorusinów. Ale na miejscu nie było żadnych walk podjazdowych, tam nie było czego komu zazdrościć. Mieszkaliśmy w warunkach identycznych, pracowaliśmy identycznie, dostawaliśmy wszystko po równo. Dzielił nas tylko spryt przy kradzieży. W pracy trzeba było się wspierać, nikt nie był zostawiany własnemu losowi, nie było żadnych donosów, jeżeli na przykład chodzi o kradzież. Nie było żadnego życia ~~ku~~ religijnego, ponieważ jednak pani Krycińska była bardzo reli-

gijna, ułożyła kolędę. "O Jezuniu drogi, jakżeś jest ubogi, jak Twój lud wy**br**any, na Sybir wygnany". ^{To} Pierwsza zwrotka, a było ich chyba 10.

Życie religijne zaczęło się po przekroczeniu dawnej polskiej granicy między Wilnem a Brześciem, taki tor teraz nie używany, Jak zobaczyliśmy kościół w 46 roku w maju, pociągnęły wszystkie wago-
ny, zostały zerwane ~~wz~~ hamulce, wszyscy pobiegli do kościoła, który widać było w odległości około kilometra. No urządzaliśmy, Wigilię urządzaliśmy, zawsze staraliśmy się, żeby było 7 dań, oczywiście wszystkie z pszenicy, ale była i kutia, Mielęśmy pomoc z zewnątrz, przychodziły paczki, Anders nas bardzo mocno wsparł, ubrał. Podrzucił zakonserwowanego je**d**zenia, ~~jak~~ fasola, jajka w proszku, margaryna, szmalec. Nie starczyło na długo, jak zerwali stosunki, całe transporty przeznaczone dla nas przejęli Rosjanie. Potem sprzedawali to w swoich sklepach. Amerykanie dali dla nas ogromne transprrty używanych rzeczy i myśmy już ich nie dostali. Anders ubrał nas wszystkich w battle-dress, wszyscy chodzili w mundurach, ale nie jak armia, w kolOrze khaki, tylko przefarbowane na ciemnozielony. Buty wojskowe, podkute, dobre tylko na jesień, bo w zimie nogi marzły, bez walonek tam była tragedia. I każdy dostał koc, z których później panie poszyły sobie spódnice i chustki na głowy, bo to było potrzebniejsze przy pracy.

Jeżeli chodzi o wyżywienie rosyjskie, dostawaliśmy przez cały czas wojny 500 g chleba na osobę pracującą i 200 g na niepracującą. Emerytów tam nie było, chodziło albo o dzieci do lat 9-10, albo o chorych, którzy nie mogli pracować. Wszystko poza tym szło do pracy. W okresie sierów, ^f sianokosów i żniw była stołówka. Ponieważ siedzieliśmy wtedy w stepie, przywożono nam konikiem od 2 - 10 km, zimny już obiad - rzędziutki krupnik przeważnie, z malutkim kawałeczkiem mięsa, trochę kartofelków na drugie danie czy kasza. Czasami ktoś się mógł nie**z**apać, czasem porcja

nie dojeżdżała już do kogoś; to jednak myśmy wtedy sobie bardzo dobrze radzili: smażyliśmy na szuflach pszenicę, prażyliśmy. Pęczniała, robiła się podpalona, ogromne ziarna, sypaliśmy sobie za koszulę i cały dzień jedliśmy tę pszenicę. Czasem rodzina podesłała główkę kapusty.

Sklep

Po przyjeździe naszym można było kupić ^u mors^u - lemoniada czerwona, bezgazowa. Na smak ten natrafiłem w Bieszczadach 4 lata temu w Cisnej. To była jedyna słodka rzecz, nie mieliśmy, nic słodkiego poza tym. Czasem wyrywaliśmy się wołami te 18 km na oranżadę. Ale w centrali jak się było, a jeździło się tam po różne rzeczy, to się tę oranżadę kupowało. Dwa razy w ciągu tych 6 lat był w sprzedaży cukier, cukierki z czegoś takiego, chyba z krochmalu, raz były jabłka takie malutkie jak rajskie. Raz ~~raz~~ 6 lat! Można tam było kupić pozytywkę do grania, laleczkę - to były wielkie atrakcje. Nie było żadnego tłuszczu. Olej czasami można było kupić, słonecznikowy, ale w stołówce, i to trzeba było go kombinować. Sklep ^{u oddzieleniu} (był) potrzebny, bo sprzedawał chleb. Kartek nie było, bo sprzedawca znał wszystkich odbierających, dawał od razu, mówiło się, że się bierze dla sąsiada. Jak sprzedawano te cukierki, albo ten ^u mors, to sprzedawano tzw. żywoj oczieriedi, znaczy dawano porcje stojącym, można było stanąć parę razy, to było dozwolone, to była gra fair. Nie zdarzało się, żeby sklepikarz kradł albo oszukiwał na chlebie, to była niebezpieczna sprawa, mógł być przestać być sklepikarzem z dnia na dzień. Korzystał na pewno, coś nie dowążył itp. Spirytus! Po żniwach, wczesną lub późną zimą przywożono spirytus. I wtedy całe nasz oddzielenie piło, aż do wypicia wszystkiego spirytusu. Były przypadki zapicia się na śmierć, raz zapikł się sprzedawca właśnie, Koreańczyk, któremu spirytus przepalił trzewia i on po śmierci był gorący parę dni.

Pędzono bimber, ja byłem za mały, mnie nie smakował. Moja siostra paliła papierosy, mnie wmuszano, ale ja wymiotowałem po każdym papierosie. Oczywiście, papierosów też nie było, trzeba było ^{było} ~~by~~ siać, albo kraść, jak ktoś posiał. I potem go suszyć.

Przydzielono nam nad tą wodą ogródki. Można było posiać kapustę, marchewkę, wszystko było bardzo słodkie, było tyle słońca. Ale to kradli^ć wyjadały zwierzaki, przecież nie było ani kawałka drzewa, żeby to ogrodzić.

Organizacja zarządzania

Na czele całej centrali stał dyrektor, naczelny, miał zastępcę, głównego agronoma, głównego mechanika. Oczywiście był główny partyjny rajspalkom i buchaltier. ~~To~~ była centrala. Na czele oddziału stał uprawlajuszczij. Myśmy ich mieli 6, to byli różni ludzie. Byli ludzie głupi, byli niekompetentni, ale byli i ludzie dobrzy - nie pędzili w mróz do pracy, nie przestrzegali prawa, że jak ktoś nie przyszedł jeden dzień do pracy, to mu się należał tzw. pragłom, czyli powinno się go odrazu dać pod sąd; odnosili się po ludzku. Takich było niewielu, ale byli. I trzeba przyznać, że ~~nie~~ to byli Rosjanie. Natomiast inne narodowości, jak Azebajdzanin, Czuwasz, Kazach - to oni się przykładali do pracy. Rdzenni Rosjanie byli inni - oni też byli zesłańcami, należeli do partii, był taki przodownikiem, traktorzystą, to go dali potem na uprawlajuszczego.

Uprawlajuszczij miał dp pomocy zawchoza, czyli takiego jakby ekonoma w majątku - on rozdawał robotę, narzędzia i podpisywał wykonaną pracę. Zawchoz bywał nawet Polakiem. Zabatargów z nimi nie bywało. Ja raz miałem zabatarg przy kradzieży, no musiał .. w Końcu nikt mnie nie wsadził, nakazał mi wysypać to, co miałem w tym wozie i nie donieść dalej. Nie wiem, jakbym się sam zachował na jego miejscu, przecież nie wiadomo, czy ktoś nie widzi, czy ~~nie~~ powie, czy ja się nie pochwałę.

Agromom była to przeważnie panienka po kursach trzymiesięcznych. Kompletnie nie znająca się na tym, co robi. Był zootechnik, to znaczy zootechnik, niedouczony ~~weterynarz~~. Buchalter^{ami} byli zesłańcy, najpierw był Polak z 22 roku, a potem była moja siostra; była bardzo wykształcona, miała 9 klas! Zaczynała bardzo źle, co przyzła płaciła utratą zdrowia, gruźlicą, resekcją 3/4 płuc, ^{Potem w Polsce} ~~nie mogła~~ studiować stomatologii, przerzuciła się potem po 3 latach na biologię i pracowała właśnie w Instytucie Przeciwgruźliczym.

Był ~~stanowiska~~ robotnicze; zarządzający bazą, magazynier. NKWD było w rejonie, milicjant był w centrali, był Kazachem. Półnował nas klimat i warunki; można było dojść do pierwszego mostu i tam by człowieka zatrzymali.

Żadnych szkoleń politycznych nie było. Natomiast w szkole przygotowaliśmy ^{rocznicę rewolucji} akademicką ~~na~~ ~~temata~~, jakieś wierszyki, piosenki, piramidy, na rękach stawaliśmy itp. Tam podstawową sprawą była praca i raczej tym nikt się nie przejmował.

Wszyscy pierwsi mieli konia do dyspozycji, już moja siostra nie. Konia, zawsze jakiego inwalidę - albo z garbem, albo kulawego, miała stołówka i tym koniem rozwoziła jedzenie. Podstawą pracy dla uprawiających ... jeździł w dwukółce, agronom też miał konia, i mechanik, który sprawował pieczę nad bez przerwy psującym się sprzętem w polu.

Praca

Praca naszą zresztą wszystkich tam mieszkających, polegała na przede wszystkim zasianiu, wyhodowaniu i odstawieniu zboża dla państwa. Oczywiście życie również wymaga wielu rzeczy, trzeba mieszkać, jeść, czymś jeździć i obsłużyć to, czym się jeździło i co się jadło: woły, krowy, cielaki, konie.

Na wiosnę po zejściu śniegów rozpoczynały się siewy, mechanicznie. Traktor ciągnął 5 dużych siewników; ~~na których~~ pracowało

to się
słusowało
wówczas

dwóch traktorzystów, albo jeden, jeżeli to było na zmiany. Jak były 2 traktory a 5 traktorzystów, to jeździli^{no} z dwóch. Na każdym siewniku stała kobieta i obsługiwała, patrzyła, czy siewnik nie jest zatkany, czy zboże sypie się do tych rurczek rozdzielających i napełniała z worków skrzynie siewników. Dzieci powyżej lat 12 miały dowozić ze spichlerza zboże do siewników. Jak mówiłem, spichlerz i zboże z niego był w zasięgu ręki i łatwo było je wziąć, ale ono było zatrute, przed ptakami, jak mówiono, zielonym proszkiem. Myśmy próbowali na wszystkie sposoby oddzielić ten proszek od zboża, ale to było nie do ugryzienia. Do siewu się nadawało. Woziliśmy to wołami, parą wołów, o czym ~~potem~~ powiem później, sypaliśmy to dużymi jak na nasz wiek i wzrost szufflami do worków, worek brała na plecy dziewczyna, czy pani, czy kobieta i z tego worka zsypywała. To była ciężka praca, a poza tym brudna, kurzyło się strasznie, wilgoć bardzo szybko znikwała ze stepu.

Moja mama jako nauczycielka pracowała w żłobku przez jeden sezon. Były pastuchy, koniuszy, sklepikarz, obsługa skotbazy.

Trzeba było budować. Budowało się z gliny i słomy, z dodatkiem płynnego krowiego nawozu. Glina sama jest krucha, dodanie słomy czy sieczeni ją wiązało, a nawóz wiązał dodatkowo. Podłogę glinianą przed świętem lub po sprzątnięciu smarowało się płynnym krowim nawozem, zielonym; to śmierdziało, ale miało te właściwości, że glina nie pękała. Kopało się ogromny rów, średnicy 3-4 metrów, odrzucało się czarnoziem, odsłaniało glinę, czerwoną, lało się do tego wodę, i w tym dole kobiety, moja siostra też, chodziły w tej zimnej wodzie powyżej kolan i rozrabiały tę glinę składających się z 4 segm. z sieczką. Brało się to łopatami, narzucało do form, wielkości około 25 x 35 x 10 cm, cegły to się nazywały ~~tytan~~ saman. I to schłodziło się na stepie, z tego budowało się ściany, do łączenia używając gliny. Cegły kładło się płasko, ściany były grube. To była

bardzo ciężka praca i moja siostra przypłaciła to inwalidztwem.

~~Następnie praca w siewach.~~ Budowało się tylko przez pierwszy rok naszego pobytu, potem ludzie poszli na wojnę, mężczyźni, ~~pr~~ przyjechali inni zesłańcy, ale już nie budowali. Budowali sobie Ingusze i Czeczeni ~~ii~~ indywidualne ziemlanki.

Najprzyjemniejsza i najciekawsza praca to były sianokosy. Kosiko się nie tyle trawy, ile dziki owies, lucernę. ~~W~~woły ciągnęły za sobą kosiarkę lub żniwiarę, zdejmowało się w żniwi-
wiarce tylko podłogę ^{spod} z tego wiatraka, na który się wrzaca normalnie zboże. To była robota starszych, 15-16-letnich chłopców. Bardzo niebezpieczna, kosy jednemu ucięły równiutko nogę, bo stanął z przodu, woły nagle ruszyły. Wół jest głupi w zasadzie. Ja miałem mądre woły, ale o tym później. Wpadanie przez nas na kosy, podcinanie palców, to była normalna sprawa, w ramach zabaw chłopięcych.

Za kosiarkami szły grabiarki. ~~Robiłem~~ po 300-400% normy i zarobiłem wtedy sporo siana, które można było sprzedać i mieć pieniądze. Pracowało się od wschodu do zachodu słońca i w czerwcu, lipcu to były najdłuższe dni, noce ~~krótkie~~. Pracowało się do godziny 12 w południe i od 4 po południu, bo woły nie wytrzymały upału. Pastuch zabierał woły do wodopoju, pchał je z 5-6 kilometrów. ^{po}W następnej ~~zrobieniu~~ waleczków siana przez grabiarki, kobiety układały je w kopy, a kopy po przeschnięciu zwąziło się w stogi. Tzw. stirdy, stirdowanie, wozami drabiniastymi. Robiło się z tego sterty, z których zimą ~~w zimie~~ zwoziło się saniami to siano do osiedla dla wołów. Gromadziło się je w miejscach sianokosów, co było utrudnieniem., bo w zimie to było zasypane śniegiem, były mrozy i wiatry, załadowanie dużych siał było prawie niemożliwe, woziło się wielkim nakładem sił małe porcje. Po prostu w czasie sianokosów nie było możliwości przewiezienia tego na miejsce. Wół jedzie 6 km na godzinę.

Po sianokosach szliśmy na żniwa. Były o tyle przyjemne, że cały dzień na okrągło jadło się smażoną pszenicę. Trzeba było w czasie żniw robić zapasy na zimę. Żniwa robiono kombajnami, Olivierami i Stalińcami. Amerykańskie kombajny miały bardzo wysoko umieszczone zbiorniki z zastawką i jak się podjeżdżało wozem - bo ciężarówki zaraz poszły na front - podnosiło się zasuwę i pszenica zsypywała się do wozu sama. Stalińce były niższe, mniej się psuły, bo były nowsze, ale miały rękaw jak u nas w Bizonach, ślimaka, który wyciągał zboże do góry tym rękawem. I te ślimaki się psuły. Trzeba było często włożyć do zasobnika i ładować wóz ręcznie, Należało to do nas, małych chłopców, bo się tam mieściliśmy, ale mieliśmy mało siły i to było bardzo ciężkie, operować tą wielką szuflą, przerzucać przez ścieżkę. Ostatniego roku jakoś się uporaliśmy z tymi ślimakami i one chodziły, co było w naszym interesie, bo nie było też przestojów.

Po załadunku z kombajnów woziło się zboże na tzw. tok, czyli klepisko. Klepisko przygotowywano specjalnie - duży, ogromny plac, 100 x 100 m, pozbawiano darni czyli trawy, polewano, ugniano. Na to wysypywało się to zboże i suszyło. Wymłócone/ zboże kobiety rozrzucaly szuflami lub drewnianymi łopatami do suszenia, na takie duże i cienkie placki, a na wieczór i przed deszczem, składały to w pryzmy. Potem podjeżdżały samochody i zabierały to na stację, a gdzie dalej, to nie wiem.

Najważniejszą funkcją wtedy był zawtok, czyli zarządzający klepiskiem; nasza znajoma pani Krycińska była nim przeważnie, i pracowały tam kobiety, a my, młodzież, przy samych żniwach. Do nas należał wyładunek. Skrzynie/ miały klapy, jak zboże było suche, po otwarciu wysypywało się 3/4 wozu, ale jak było wigot-

ne, trzeba było machać szuflą. Przy dobrym urodzaju, przy dobrej pracy kombajnu, trzeba było się uwijać, żeby zdążyć rozładować cały kombajn. Przy złośliwości kombajnisty można było jeszcze zarobić dodatkową pracę. On, jak widział, że nas nie ma, a widok miał w stepie rozległy, wystawiał tzw. wieszkę, czyli wiechę, że jest pełny i czeka na rozładunek, niekoniecznie w miejscu, gdzie były drogi. Przy dobrym urodzaju on się zapełniał wcześniej i musieliśmy jechać po rżysku. Jak nie było nas długo, otwierał zasuwę i zsypywał zboże na ziemię, na rżysko. Musieliśmy wtedy bardzo dokładnie to zebrać, zamaskować, żeby ktoś nie zobaczył, że tam coś zostało. Bito nas za to po kieszeni, rugano. Szpary w wozie musiały być bardzo dokładnie zatkanie, chyba że przejeżdżaliśmy przez osiedle, wtedy drób miał co jeść. Za to potracali nam dniówkę. Jeżeli wyrabialiśmy normę, ponieważ, to zarabialiśmy w naturze, dostawaliśmy potem zapasy na zimę, co pozwalało również ukryć kradzione zboże, ponieważ mikt nie mógł się zorientować, które jest które.

Normy były do wyrobienia, faktycznie były niskie. Jeżeli wszystko dobrze szło, wyrabiało się 300-400 % normy. Jak był nieurodzaj albo psuły się kombajny, spaliśmy całe dni. Pieniądze były do niego nie potrzebne, ważny był deputat w naturze. 18 km od nas była kopalnia złota, przejeżdżały wozy ze złotem, psuły się, stały obok, nikogo to nie interesowało, bo za to złoto nie można było nic kupić. Moc było rudy ze złotymi grudkami, w białym złożu. Tam był ważny talon! Jak się pracowało w kopalni złota, człowiek dostawał talon, za który mógł sobie kupić dodatkowe coś w swoim sklepie. Ba złoto mikt nie patrzył.

Po spadnięciu śniegu kończyły się żniwa, jeżeli nie ^{zanoszono} ~~konczyły~~ się na ukończenie żniw przed śniegami, wjeżdżały jeszcze na pola żniwiarki, żeby pomóc. Zrzucały snopcy i się to składało w stóg.

Po skończeniu żniw kombajn ~~bez~~ Heder bez elementu tnącego, jako młockarnia, podjeżdżał pod stóg i młócił. Strasznie brudna robota, plewy i słoma leciały w powietrze. To była spokojna robota, czekało się 3-4 godziny, aż wymłóci.

Raz był pożar, zapalił się stóg, iskra z silnika padła, myśmy wtedy jako bohaterowie odciągnęli wołami kombajn i uratowaliśmy go. Dostaliśmy jakąś pochwałę. Kombajnista był Rumun, z Besarabii, strasznie się bał, co to będzie, jak się spali kombajn, ale spaliło się tylko zboże.

Zaczynała się zima. Najcięższy okres, jeżeli chodzi o pracę. Pracowało się krótko, od wschodu do zachodu. Najtrudniejszą pracą było sniegozadierżanie, czyli zatrzymanie śniegu na polach, żeby potem stopniał i wsiąkł. Nie wszystkie pola co roku pracowały, tam zetknąłem się z trójpolówką. Na wyznaczonym pod przyszłoroczne zasiewy polu zatrzymywało się ten śnieg zaporkami ze śniegu. Wiozło się saniami kobiety, mróz 30-40 stopni, ustawiały odpowiednio w odległościach kostki z wyrąbanego śniegu. Jak przychodził buranę zawiewał to, zatrzymywał się śnieg na tych zastawkach. Teraz widziałem w TV białoruskiej film z Kazachstanu - jedzie traktor i kopie dół, taki rów, w czasie zamieci ten rów się zasypuje śniegiem. To dobry sposób, myśmy to robili ręcznie, a traktory w tym czasie były w remoncie. Można byłoby przecież coś wołami wykombinować. Marzły przy tym strasznie ręce.

Odzież musieliśmy wymieniać - za pantofelki stare fufajki i stare walonki. Uprawiajuszczycy i inni wyżsi dostawali przydział ciepłej odzieży - fufajki, spodnie watowane, walonki z pierwszorzędnego filcu, walcowanego. Sprzedawali to niżej, ja w drugim czy trzecim rzucie już dostawałem te walonki podbite gumą z opon, podszyte gumą z transporterów, bo miały już

zdarte spody. Rękawice szyło się z waty i brezentu, wata była, choćby w szpitalu. Kradło się, kombinowało, zamieniało. Czapki na głowę - chyba były w sklepie, ja miałem chyba kupioną papachę, bo w pierwszym roku można jeszcze było kupić czapkę w sklepie. Kobiety miały chusty wiązane z koców.

Nie było granicy temperatury, w której się pracowało, nie było zresztą termometru. Dowiedziałem się, że raz było -52 stopnie, bo byłem akurat wtedy w centrali konno. Jak była zamieć, to nie pracowano, mrozy nie ograniczały.

W zimie trzeba było dawać bydłu jeść, chodzić do pieriemyczki ^{po wodę}, rąbało się przerębem, ^{lód miał} podad pół metra grubości. Woda była zielona, pływały po niej takie żuki. W 43 roku wykopano ^{40 metrową} ^(żelazista, słona) studnię - była w niej żółta, twarda woda. Zrobiono prymitywny tłok ze skóry, trzpień i 6 kobiet pompowało wodę. Najprostsza konstrukcja pompy - jak się brało w górę, to woda sikała, a w dół - to nic. Napełniało się ogromną kadź. Poiliśmy bydło tą wodą. Bydło chętnie piło tę wodę, bo potrzebowało soli. Dla bydła zresztą dostawaliśmy sól, ale ją kradliśmy, bo myśmy soli nie mieli. Rozbijaliśmy ją w moździerz. Raz była wyprawa po sól, w odległości 60-70 km było słone jezioro. I przywieźliśmy sól wołami.

Pracowało się na okrągło w czasie siewów, żniw i sianokosów. Były wychodne dni w zimie i jak przywieźli spirytus. Świąt żadnych nie było, ani 1 maja, ani rewolucji, nie przypominam sobie dni wolnych z tych okazji. Nie istniała żadna ochrona pracy. Moja mama do dziś ma legitymację związku zawodowego mojej siostry. Mamy z dokumentów jeszcze kartę pobrania darów od Andersa - pół kg masła, jajka w proszku, fasola; z pieczęciami, z podpisami. Jest też koperta urzędowa, sklejoną z gazetą zaadresowana do nas, napisana atramentem z zeskre-

banego ołówka kopiowego. I o dziwo, atrament trzyma świetnie do dzisiaj. Myśmy w szkole robili atrament z sadzy, ale to zaraz znikало, jak sympatyczne pismo, ale na zawsze. Pisało się na gazetach, zresztą gazety znikaly głównie na papierosy. Rzadko dochodziły. Polskie gazety, andersowskie, potem ZPP - dochodziły, bo były na błyszczącym papierze, który nie nadawał się do palenia /papierosa/, natomiast Prawda⁴ ruska i Kazachskaja Prawda⁴, która tam była, nadawała się świetnie do palenia, był to miękki papier gazetowy z takimi włóknami.

Praca w transporcie. Wożenie siana od rana. Na tym się dobrze zarabiano. Naciągali nam trochę; ileż mogli przywieźć młodzi chłopcy, widkami trzeba było umieć operować, ^{ale} /nauczyłem się.

Ja zacząłem pracować od razu, miałem 3 lat w 40 roku, już będąc w szkole. Do naszych obowiązków należała pierepółka, czyli pielenie. Wychodziliśmy na pola, jak zboże miało około pół metra. Nauczycielka dzieliła po 5-6 metrów, taką działkę dla każdego i przed nami były 3-4 km pola, i się szło. Koszmarem były kleszcze. W pierwszym roku pieliliśmy ręcznie, w następnym dostaliśmy tzw. pliczki, czyli motyczki, najprostsze, zrobione w kuźni. Nauczyliśmy się tego, z czasem człowiek szedł, że ho!

Jeżeli chodzi o szkołę, to w tych 4 oddziałach były szkoły 4-klasowe. W centrali była dziesięciolatka. Ale w jednym oddziale była np. klasa 1 i 2, a w drugim 3 i 4. Raz tu się chodziło, raz tu. Można też było utrafić, że akurat się chodziło w jednym miejscu. Czasami się to nie zgadzało, jak dzieci skończyły 4 klasy i nie było co z nimi zrobić, to szły jeszcze raz do 4 klasy. Wokami woziło się też je do sąsiedniego oddziału. Ja po skończeniu 4 klas miałem tego dosyć, byłem już wykształcony, poszedłem do pracy. Miałem wtedy około 12 lat.

Więc były straszne kleszcze w zbożu. Nikt nie miał długich

spodni, bo przed wojną chłopcy chodzili w krótkich spodenkach, ja na szczęście miałem piżamę i chodziłem w to zboże w piżamie. Ludzie kombinowali, odkupowali ^{spodnie} od traktorzysty.

Największy transport odzieży, od Andersa, jak mówiłem, został przejęty przez Rosjan i pojawiły się te ubrania w sklepach.

Pamiętam jak dziś: czarna jesionka z aksamitnym kołnierzykiem. Szczyt moich marzeń, ^{Miał taką przed wojną mój ojciec,} ale niestety nie było pieniędzy. Zdarzają się i dziś starsi panowie w takich, patrzę na to z sentymentem. Tak wyglądała nasza praca.

Trzeba było bez przerwy jeździć do centrali, po paliwo, tam była zaprawka, czyli stacja paliw, po smary i po chleb. Chleb wożono się w zimie raz na 3-5 dni, albo wożono i dawano mąkę. Mąki dostawało się dużo mniej niż chleba, bo odliczali na wypiek, na rozrost itp. Ona miała mankament - była najgorsza ^{z mąki} ~~z mąki~~ ^{do tego} ~~do tego~~ i była gorzka. W pszenicy i życie rósł piołun, wysokości pszenicy, do półtora metra. Miał na górze małe kuleczki, świetne na pchły. To była nasza jedyna szansa z pchłami, pchły nas nie gryzły w lecie. Pchek było tyle, że jak się rozchyliło na piersi koszulę, to wyskakiwały wachlarzem. Pchka była zresztą najsympatyczniejszym stworzeniem, z jakim się tam spotkałem, była niczym w porównaniu z innymi.

Przy żniwach kombajn nie oddzielał tych kuleczek piołunu od kłosów. My to w domu dla siebie oddzielaliśmy na stołach. A tu piołun był mielony w młynach państwowych i ta mąka była gorzka. To się jadło, ale to było coś niesamowitego, ja jeszcze czuję ten gorzki smak. On zabijał kompletnie smak chleba. Nie była to goryczka obok właściwego smaku, chleb chlebem a goryczka goryczką. Nie, to była sama gorycz. Człowiek jadł, bo musiał. Nic na to nie pomagało, ani suszenie, ani nic. W chlebie zresztą to było jeszcze do zniesienia, bo np. raz zrobiliśmy

kluski, to w ogóle było do niczego. ~~Rz~~

Więc jeździło się do centrali po chleb raz na parę dni, wtedy dostawało się np. 4 x 500 g na osobę, 2 kg. Bochenki były 3-kilogramowe, z formy, wysokie, chleb był dobry, o ile nie był upieczony z tej gorzkiej mąki. Był zupełnie przemarznięty, aż białutki. Musiał najpierw odtajać.

Opał

Każda z naszych izdebek była wyposażona w gliniany piec. Piec był dość wysoki, wielokanałowy, żeby jak najlepiej grzał, była płyta z fajerkami, pędzanymi ~~drutem~~, był kawałek blachy do topienia lodu, był gliniany płaski blat podgrzewany, na którym się siedziało w czasie zimy. Dzieciaki stale siedziały na tym blacie. Rdzenni Rosjanie, którzy tam siedzieli od dwóch pokoleń, mieli klasyczne piece ruskie, na których można spać, to jest znane z filmów czy powieści. Myśmy mieli tapczan za piecem, bo piec stał na sztorc do ściany, jak odsunęte pianino. Podstawnym opalem był kiziak, tzn. krowi nawóz. Stada były dosyć liczne. Latem szło się przez pole, leżało pełno ^{krowich} placzków. Każdy zresztą mógł mieć własną jedną krowę, ale trzeba było mieć na to warunki. Ale od państwowych krow też były przydziały mleka, moja siostra jako buchalter dostawała pół litra mleka dziennie. Mleko można było kupić od tych, co mieli krowy. Więc szło się zbierać te placzki, a przy okazji te mokre jeszcze odwracało się, żeby schły, każdy to robił, kto przechodził, on dla innych, a oni dla niego, była współpraca.

Na zimę trzeba było przygotować tego więcej. Dostawało się wóz nawozu. Stajnie i obory były czyszczone powierzchownie na stałe, ale woły wyjadały wszystko siano, dokładnie, natomiast pozostawiały badyle. I te badyle też szły na opał. Jak nie było zanieci, sypało się wołom na śnieg, a potem, jak wyjadły, zgrabiało się te badyle. Wracając do kiziacu - nawóz zmieszany

był ze słomą, bardzo ciężki, więc brało się parę najsilniejszych wołów i ~~brało się~~ największy wóz. Przywoziło się to do chaty, wrzucało pod ścianą i układało się w pryzmę. Polewano się to wodą i on się zapalał. Jak wydobywał się z niego dym i robił się w środku siwy, to się przepalał. Rozrzucano się go wtedy, narzucało na niego gliny i deptało nogami na taką miarzę. Następnie ukłapywało się ją na placek i po wyschnięciu kroilo się go ogromnym tasakiem na kostki i ustawiało te kostki pod ścianą, na zapas zimowy.

Oprócz tego paliło się słomą - można jej było brać, ile kto chciał w czasie żniw. Woziliśmy naszymi wozami zboże, a na wierzch ładowaliśmy słomy, ile włązło, wygodnie się wracało, i koło domu ustawiało się wielki stos słomy. Jak to było przyspane śniegiem, wrywało się kawałki tej słomy takim szydłem, po trochu, to wchodziło ładnie w słomę i wrywało. To była straszna robota, bo tej słomy trzeba było bardzo dużo, np. trudno sobie wyobrazić, ile słomy potrzeba do ugotowania garnka kartofli. Myśmy sobie ciągnęli słomki, bawiliśmy się, że palimy sobie papieroski, piekło to w język strasznie.

Paliliśmy też węglem. 8 km od nas czy 9 była kopalnia węgla. Stamtąd przywoziliśmy miak, wysoko kaloryczny miak. Można tam było pojechać raz w roku, złożyć podanie i przywoziło się chyba około tony tego miaku. Raz czy dwa razy na tydzień można było przepalić tym miakem. Układało się ten miak, obkładało kiziakiem i słomą, bo przecież drzewa żadnego nie było - w ostatnim roku pojechaliśmy do lasu, miakem już 15 lat, byłem starym chłopem, przywozłem karłowate sosenki na podpałkę. Węgiel wrzucało się do wiadra, polewano wodą i on się robił taką mokrą miazgą. Wsadzało się to do gorącego pieca, kopcik i kopcik się, aż się skawalił, wtedy rozbijało

się go pogrzebaczem na kawały, robił się bar i on się aż gotował, pylił, śmierdziało to, ale dawał dużo ciepła, można było gotować. Pieca^{do}/chleba nie mieliśmy, ale można było na tym piec chleb. Myśmy robili tylko lepioszki, czyli placki na zakwasie, które rosły, albo ~~żyte~~ ^{zwykle} przeasne, wałkowane ciasto jak na makaron, tylko grubsze i pieczone na płycie.

Jeszcze były tak zw. burzany, czyli katajpole. Późną jesienią te krzaczki, liściaste, rosnące stepie, usychały, potem wiatr łamał je przy korzeniu i te ogromne burzany, gnane wiatrem, leciały przez step, aż zatrzymały się np. na ścianie chaty. Wyglądało to, jakby leciały stada zwierząt, a my, chłopcy bawiliśmy się w bramkarzy i łapaliśmy te burzany, na opał.

Ubranie - uzupełnienie

Wszyscy chodziliśmy boso, moja mama tylko chyba nigdy boso nie była. Od stopnienia śniegów do pierwszych śniegów chodziliśmy boso. Miejscowi mali chłopcy, którzy nie chodzili do szkoły, siedzieli na piecu w koszuli, bez majtek i za potrzebą w zimie wylatywali na śnieg na bosaka, w koszulce do pasa. Byli zahartowani.

Mieliśmy tzw. ~~praszak~~ pastoły. To były łapcie przyprowadzone przez Rumunów, robione z gumy z opon albo nie trawionej skóry, wyglądały trochę jak kierzce, ściągnięte na nasku. Nogę owijało się szmatami, wsadzało w toto, a potem rzemieniem okręcało się nogę aż do kolana. Guma była cholernie zimna. Natomiast nie wyprawiona skóra miała taką właściwość, że na noc trzeba było ją wrzucić do wiadra z pomyjami, żeby się natłuściła. Rano wyjmowało się to mokre, schło w ciągu dnia, i jak wyschło było sztywne. Moja siostra przywiozła do Polski takie buty, niestety, wyrzuciliśmy je.

Od Andersa dostaliśmy buty, ale straciliśmy je przez su-

szenie, spaliły się noski w piecu kiedyś. Potem rozpacz - co włożyć?

Sprawa telefonu i inne.

Na początku w kancelarii oddziału był korbkowy telefon, połączenie z centralą. Druty szły na słupach. Ktoś kiedyś wymyślił, że należy zadaszyc klepisko na zboże. Konstrukcję postanowiono zrobić ze słupów telefonicznych. Ścięli te słupy na odcinku 10 km, a nas podłączono do najbliższego osiedla, pośrednio tylko z centralą. Postawili konstrukcję, ale nie było czym jej przykryć. Postało, a potem się to rozkradło na opał. Piękne, wysuszone drewno. Telefonu nie było ^{już} wcale, bo nowe połączenie nie działało.

Nafty w sklepie nigdy nie było, a myśmy jednak palili stale naftą. Ogarki, też. Mieliśmy lampę naftową, którą przysłała nam niania z Grodna, przysyłała nam też szkiełka ^{do lampy} Oczywiście dopóki w Grodnie byli Rosjanie. W ogóle przysyłała nam paczki, za co ją zamknęli. Z Grodna nie wolno było wysyłać paczek, tylko z sąsiedniej stacji Porzecze. Ona pojechała z paczką na pocztę do Porzecza, złapano ją w pociągu i wsadzono ~~ja~~ na pół roku. Wsadzili ją Rosjanie.

Szkiełka się biły, więc oświetlało się zwykłym kopciuchem, albo olejarkami od traktora, dużymi. Kradliśmy te olejarki, wstawiało się do środka knot z waty, lało się benzynę kradzioną no i to się paliło. Nie dawało dużego płomienia, ale za to był smród! Nie było zapałek. Zapałki, bardzo szerokie na końcu, sprzedawano ~~w~~ sklepie, ale ^{czysto} nie było drasek. Pakowano je po 100 sztuk, kępek bywał w środku zapałki, a nie na końcu. ~~Draska była albo nie!~~ Zrobiliśmy sobie krzesiwa. Ta ruda złota to był piękny krzemień. Ze stałych elementów kosmatek - bardzo twarda stal -

robiliśmy krzesiwo, tzn. element wskrzeszający iskrę, mieliśmy rurczkę z knotem z waty, zawsze trzeba było to mieć, na końcu tej waty zawsze był popiół, bo inaczej by się nie zapaliło. To się krzeszło, rozdmuchiwało i to był ogień. Byli tacy, co żyli tyle lat bez jakichkolwiek zapalek.

Nie było drożdży; żeby upiec placek, chodziło się do sąsiadów po zakwaski, od niego brało kawałeczek i rosło ciasto.

Nie było łazienki, wody bieżącej.

~~XXXXXXXXXX~~ Nazwa kopalni złota i miejscowości: ^{Dżelanbet.} ~~Dżelanbet~~ ^{Zolymbet (pis. między Zolymbet),}
Na rosyjskich atlasach obecnie jest Żelanbet. Tam były szklarnie, kupowaliśmy tam rozsady itp. W Dżelanbecie byłem raz, jak mi wpadł w oko kawałek metalu, jeździłem do szpitala, do lekarza przemysłowego, który wciągnął mi to magnesem. To było w przeciwnym kierunku niż centrala, ale też 18 km. Pośrodku była kopalnia węgla, bez nazwy własnej, uogólniają szachta. Parę baraczków, prymityw. Kilofty i windy na sznurkach. Pracowali tam Japończycy.

Apropozycja

Ja się zawsze śmieję ze wszystkich, którzy mówią, że trzeba jeść śniadanie i obiad, ^a nie wolno jeść kolacji. Myśmy właściwie żyli w warunkach ekstremalnych - mieliśmy minimum środków do życia, a maksimum pracy. Wysiłek fizyczny był duży, mimo że człowiek mógł pracować trochę wolniej. Ale wysiłek był związany nawet z samym klimatem, temperaturą i nieustannym kurzem.

Myśmy nie jedli śniadań. Braliśmy kromeczkę chleba albo tę lepioszkę, zjadło się, poszło do pracy. W zimie stożkówka była nieczynna, pracowała tylko w sianokosy. Przyjeżdżało się, jadło się obiad, czyli zupełną mączną - zacierki, makaron, sała-

macha , tzn. mąka gotowana z wodą, albo tzw. zapiekanka, czyli mąka smażona, na sucho na patelni i z tego zrobiony taki bełt z wodą i odrobiną tłuszczu, czy wołowego szmalcu, kawałek gęsiny, oleju troszeczkę. Drugiego dania nie było. Od czasu do czasu zmarznęte kartofle, słodkie, bardzo dobre, czasem wyrzucali, to się zbierało. Wół zdechł, obdzierano go ze skóry, do zdania, a mięso ^{się} wykorzystywało. Właściciel miewał kłopoty, jak wół zdechł, ale zdychały, co robić. W zimie - przeważnie w zimie zdychały - wyrzucano takiego byka na zewnątrz, to się brało siekierę i się szło. To zdechłe mięso, ale wół był zdrowy. Wtedy można było zrobić pierogi, gotowane mięso - jakoś się to jadło. Ale przeważnie wyłącznie potrawy mączne.

Następnie jedliśmy kolację i to nam służyło. Do dziś jestem przyzwyczajony jeść duży obiad i dość porządną kolację, śniadania mogę nie jadać. Jajek tam nie jedliśmy właściwie wcale. Mieliśmy własnych 6 kur, które w zimie mieszkały z nami, pod stołem. Omacywałem kury całe życie, świetnie wiedziałem, która ma znieść jajko. Nikt się nie dotykał do kur, tylko ja. Kury sadzało się na jajach, bo zawsze któraś się tam skwoczyła, i później był kłopot z wyhodowaniem kurczaków, bo było bardzo dużo jastrzębi, a nie było bronie, mogliśmy tylko czymś machać. Wszyscy pracowali, a kury chodziły i jadły ile chciały, bo się zawsze im tę pszenicę z wozu sypało. Gęsi też jadły mnóstwo, bo mieliśmy parę gęsi. Zawsze ze trzy gęsiaki się uchowały, zarzynało się je przed mrozami, wkładało do glinianego garnka, osobno skrzydełka, nóżki itp., i tak się od czasu do czasu wrzucało kawałeczek gęsiny do tej zupy, do mąki. Wytapiało się też gęsi tłuszcz, on nie zastygał. Przechowywaliśmy wszystko to zwyczajnie na mrozie, w dużym glinianym garnku. Jajka wymieniałyśmy, sami ich nie jedliśmy. To była waluta, kupowaliśmy

za to walonki, kapcie. Te 6 kur zarżnęliśmy w dniu wyjazdu i nareszcie najedliśmy się - ach, udko, konkretne jedzenie. A resztę zawekowaliśmy na drogę, usmażone.

~~Żeby zapewnić sobie jedzenie, gdy nie było Stokółka i kłóty~~
działała tylko w lecie - krupnik, kawałeczek wieprzowiny, kasza, zawsze zimne, a często nic nie zostawało, bo np. traktorzysta dostał więcej, bo był głodny. Wody też nie dostawaliśmy w polu znikąd, wożono w beczkach owszem wodę, ale do traktorów, woły nie chciały tego pić, a myśmy pili - woda miała straszny smak i na wierzchu kożuch komarów, trzeba było dobrze dmuchnąć, żeby pić. Woły były delikatne i wybredne, wół nawet nie chciał pić z wiadra, z którego pił jego poprzednik! Burżuazja!

Podstwową rzeczą na zimę była mąka. Musieliśmy w czasie zniw zdobyć zboże i przetworzyć je od razu na mąkę.

Ja miałem długi wóz, 2 m, wysoka skrzynia. Żeby był szczelny, był wzmocniony listwami na łączeniach desek. Tam się utykało na 1 - 2 cm zboże, nie wydostało się go po prostu przy wyładowaniu, chociaż był taki obowiązek. Słomę się wiozło, pod spodem zboże. Raz mnie złapał zarządzający kolchozem, wsadził łapę pod słomę, a tam było akurat trochę więcej niż ten centymetr. Kazał mi wyładować słomę i pojechał na tok, i wysypał zboże. Wyładowałem słomę, on mnie nie pilnował, zabrałem zboże, do domu zniosłem i dalej pojechałem wywieźć, bo mogłem to sprawdzić.

Nie miałem żadnego problemu.

Raz mnie napadnięto, 2 Inguszków, dwa worki pszenicy załadowali na swój wóz, powiedzieli, że jak coś pisnę, to mi przyładują, że się nie pozbieram i o tym fakcie właściwie zapomniałem, mogłem przyznać się do tego dopiero w Polsce.

Trzeba było natychmiast zemleć to zboże. Siadała cała rodzina za stołem i przebieraliśmy tę pszenicę z płołunu

i plew, domieszek. Żarna na stół szły. Mieliśmy żarna z dwóch kamieni, dość duże i bardzo szybko to szło. Robiło się mąkę, mąkę grubszą, kaszę, pęczak, co było niebezpieczne, bo wtedy było widzieć, z jakiej jest pszenicy, pęczak można było zrobić tylko na jeden raz. Tę mąkę przechowywaliśmy w workach w domu, wysoko na stole, zabezpieczoną przed myszami. To była straszna robota, przede wszystkim dlatego, że człowiek był zmęczony całym dniem pracy, przyjeżdżał, jak było ciemno i musiał jeździć ze dwie godziny się z tym bawić. Nie znosiłem przebierania tego zboża, nie znosiłem żarnen. Potem byłem już dostawcą zboża, tym, który narażał się najwięcej, więc mogłem sobie pozwolić na kaprysy. Siostra, pani Krycińska, ta druga pani i ten chłopaczek - wszyscy musieli cały czas pracować.

Były rewizje, można było się naciąć. Rewizję mógł zrobić uprawiający naszego osiedla, zawtok. Jak się wracało z pracy: pokażcie, co macie w tej torbie tam? w teczce? Pani Krycińska, jadąc na furmance, ^{ze zbożem} z tyłu ~~leżała~~² teczka, w której miała neriady, czyli notatki, ile kto zrobił, ~~siedziała~~⁴ spokojnie ~~z tyłu~~ nagarniała do tej teczki. Nagarnia, nagarnia, odwraca się, a tutaj widzi konia, a na dwukółce ~~zakonem~~ siedzi uprawiający i się uśmiecha. Ona to wszystko wysypała, nie było na ten temat mowy, no, ale z tego mogłaby być duża sprawa. Moja siostra pierwszego ~~razem~~ jesieni pracowała przy wykopkach ziemniaków. To był pierwszy raz i ostatni, kiedy sadzone państwowo ziemniaki dały plon większy, niż ilość posadzona. Widziałem potem tylko ziemniaki malutkie, tyle samo, ile posadzono. Nie mówiąc o ~~zawtokach~~ kawale radzieckim: jak szybko rosną w Rosji ziemniaki? Rano posadzone, a wieczorem wykopane. Siostra szła z wiadrzem i w tym wiadrze miała na dole 5-7 ziemniaków.

Szła właśnie do domu, słyszy nagle: chodź no, chodź, pokaż, a to ziemniaki, popatrzył, puścił ją, ona się zrobiła czerwona. Nie było z tego dużej sprawy, ale było dużo wstydu i niepotrzebnych nerwów. No i strach, co będzie następnym razem.

Więc to była podstawowa sprawa: w czasie żniw zebrać tyle zboża i ziemię, ile potrzeba na zimą. Ciekawą sprawą były żarna. Żarna z kamienia było trudno dostać ~~ale~~ wszyscy używali żaren metalowych. Jak się jedzie pociągiem, to widać ~~na~~ na niektórych słupach ~~na~~ takie ciężkie, ~~z~~ okrągłe obciążniki, z wycięciem. Takie obciążniki były stosowane też do kombajnów, do tego ~~rodzaju~~ Hederu, o którym mówili, jako przeciwwaga przy elemencie tnącym kombajnu. Było 6 czy 7 takich ciężarków, nadziane z tyłu na teownik, nie miały tego wycięcia. Położone to jedno na drugim i to T /teownik/ zabite drewnem, zrobienie rączki, puszka od konserwy jako zbiornik, pod spodem zaczepiony sztyft, jedno nad drugim, nacięte ~~zaczepione~~ specjalnym meśtem /?/ rowki. Ciekawe, że rekwirovano je wszystkim na okres żniw, w najpotrzebniejszym momencie, a oddawano po żniwach. My ~~z~~ od niemieckiej rodziny za coś kupiliśmy kamienne, ^{żarna} kamiennych nie zabierali na okres żniw, nie cieszyły się zainteresowaniem władzy.

O stółwce mówili, że to była pomoc, ale tylko pomoc w okresie żniw. Często piekliśmy lepioszki na zakwasku. Duże placki rosły, piekło się ły na płycie. Miały grubość ze 2 cm, czasem były przekwaszone, czasem nie. One składały się tylko z mąki i z wody, bez jajek. Makaron najtrudniej było zrobić bez jajek, ale od czasu do czasu odżałowaliśmy to jajko. Była w stółwce zupa z kiszonej kapusty, albo w sklepie kapusta kiszona. Wtedy robiło się kapuśniak w domu, tzw. szczy rosyjskie, do tej pory to lubię.

Obok pieriemyczki można było mieć kawałek działeczki, o czym

już mówiłem. Tam też rosły produkty dla stołówek. Myśmy mieli marchewkę, kapustę, tytoń, ^opie

Miejscowi piekli chleb, czasami częstowali, czasem się ~~kxxx~~ ~~piłox~~ wyzebrało od kolegi. ~~Następniesz w koleżankę~~

Higiena i warunki sanitarne

Nie mieliśmy żadnych urządzeń sanitarnych, dosłownie żadnych. Potrzeby załatwiano się w stepie, za zaspą śniegu. Myliśmy się w miednicy, co pewien czas zaś pożyczano się balię od kogoś z/zasiedziały mieszkańców i robiło się kąpiel, jak na westernach dziś się to widzi - kowboje w cebrzyku, a my w balii. Jak pracowało się w stepie i pocowało się tam, woda była tylko dla traktorów. Przerывało się co 7 dni pracę i prosiło o pozwolenie przyjazdu do domu, żeby wykapać się i przebrać.

Bardzo dokuczały nam insekty. Wszy, pluskwy i pchły. Pchły były najsympatyczniejsze, likwidowało się je piołunem, natomiast wszy były plagą. Wszyscy byli zawszeni. Miałem szczęście, że nigdy nie miałem wszy na głowie, nie wiem dlaczego i nie musiałem być ostrzyżony na zero. Natomiast moi koledzy i koleżanki, byli ostrzyżeni na zero. Dziewczynki kilkunastoletnie też. Jeżeli był wolny czas, Rosjanki chętnie siadywały na przyzbie i się iskały. Jedną kładła drugą głowę na kolanach i te gnidy

i wszy wyciągały, podśpiewywały sobie, opowiadały coś; to należało do pewnego obrzędu.

Bania /łaźnia/ była. W centrali była to łaźnia z prawdziwego zdarzenia, można na placach policzyć, ile razy w niej byłem. Była też bania u nas, prymitywna, łatwo było się zaziębić. Nie miała też odwszalni. Zawsze Rosjanie się pytali: u was banie są? Nie ma. Odwszalnie są? Nie ma. ~~Wot~~, kultura (pogawdlinie).

Ostatnią odwszalnię widzieliśmy w drodze powrotnej.

Do obowiązków mojej mamy, gdy inne osoby pszenicą przebiegały i mełły, to moja mama siedziała przy lampie naftowej i z naszej odzieży, ze szwów, wyciągała bardzo ładne okazy ^{wszy} i wrzucała je do lampy. To bardzo ładnie strzelało. Jeżeli można polubić taki insekt, to ... zabijanie ich sprawiało nawet przyjemność. To była jedna z naszych przyjemności.

Pluskwy gnieździły się w tych ścianach glinianych, w deskach tapczanu. Do walki z nimi mieliśmy tylko naftę. Leliśmy tą naftą, śmierdziało w całym domu, pluskwy jak były, tak były. Jak wszyscy wiedzą, wchodzi na sufit i spadają na pościel, tak, że odsuwanie tapczanu od ściany nic nie dawało. Z tym nie można było sobie poradzić.

Choroby

Nie przypominam sobie, żeby ktoś umarł tam na zawał serca. Tzw. szlag nikogo tam nie trafił, nikt nagle nie umarł. Chyba, że spadł po pijanemu z konia, albo samochód go przejechał, oco było trudno, zważywszy rzadkość samochodów.

Było trochę starszych ludzi, z nami przyjechało sporo babć. Żadna nie wróciła, pochowano je tam. Były zejścia na tyfus.

Komary. Ciekawa rzecz - suchy klimat, a komarów mnóstwo. Były takie lata - 41 i 43, chyba te nieprzyste, na wiosnę to było coś niesamowitego. Latały takie ogromne kule komarów, jak człowiek wjechał z wołami, wpadł, to musiał zabijać setkami na ciele.

Komary były bardzo duże no i roznosiły malarię, malaria się zdarzała.

Kleszcze, trzeba było mieć długie spodnie. Kleszcze atakowały i ludzi i zwierzęta. Myśmy dbali o swoje woły, wyciągaliśmy im te kleszcze, wielkie, na 2 cm średnicy, siedziały przeważnie pod zwisającą skórą na karku. Człowiekowi na nogach. U nas są mniejsze, zająłem kiedyś kleszcza na Mazurach, ~~pła~~ i ja, to są dużo mniejsze. To było dokuczliwe, ropiało, do czego przyczyniał się brak witamin, bo przeważnie z braku witamin i tak miało się czyraki na nogach. Kleszcze się dokładały.

W centrali był szpital, 18 km. Lekarzem jedynym~~x~~ był Turek, Azerbejdżanin, też zesłaniec. Miał do dyspozycji barak, drewniany chyba, dawniej budowany, tam była przychodnia. Lekarstw prawie nie było, jakieś przypadkowe. Ja zetknąłem się ze szpitalem dwa razy. Raz pojechałem z tym okiem do Dżelanbetu, do tej kopanki złota. Byłem też raz chory na żółtaczkę, ale nie~~x~~ leżałem w szpitalu, tylko u znajomych koło szpitala, potem w domu. Żółtaczkę przeszła mi dość lekko, bez śladów chyba. Chorowałem też na zapalenie płuc, ale to też w domu. Do szpitala jeździło się po zwolnieniu z pracy, do przychodni naturalnie. Jak ktoś był chory, jechał do szpitala i dostawał sprawkę, czasem nie, ale przeważnie dostawał. Jak widział zawchoz ~~z~~^{ze} ktoś słania się na nogach, ma gorączkę, to uwzględniał nie pójście do pracy i bez tej sprawki, choć to było wbrew przepisom. Leżałem na zapalenie płuc dość ~~o~~ długo, zaziębiłem się chodząc na bosaka po śniegu. To był 45 rok, z wysoką gorączką.

W szpitalu leżeli chorzy na tyfus, wrzody, cięcia, sprawy chirurgiczne, było też dużo urazów mechanicznych przy traktorach, poparzenia, przecięcia, przejechania, zmiżdżenia.

Poza tym nie znaleźliśmy chorób, nie wiedzieliśmy, na co można

być chorym. No i malaria - z dreszczami. Ale chyba trochę inna, spotkałem się z malarią tu w Polsce, kolega chorował, i ona miała gorszy przebieg niż tamta. Może inny wirus.

Moje osobiste dzieje

40 roku

Więc po przyjeździe w maju do pasiołka Bajkalski nr 40 i do naszego ziemnosawchozu, we wrześniu poszedłem do szkoły, do drugiej klasy. Nie skończyłem pierwszej, ale poszedłem do drugiej. Uczyliśmy się razem z pierwszą klasą w jednej izbie, jedna nauczycielka. ^{W klasie było} ~~Wszystkie klasy~~ 7 - 10 do 15 osób, ~~uczyło się w jednej klasie.~~ Uczyliśmy się piłać. Dopiero niedawno wyczytałem gdzieś w prasie, że w szkołach rosyjskich nie zadawano żadnych wypracowań, tylko dyktanda. Sprawa prosta - nie przyzwyczajano do własnego myślenia. Ja byłem za nisko, żeby się z tym zetknąć. Potem chodziłem do klasy 3 i 4, w kolejnym roku. Tam to jest, W tak jak u nas 7 klas - podstawowe wykształcenie. Przedmioty: rachunki, rosyjski, przyroda, geografia - to chyba wszystko. Ponieważ moja mama była nauczycielką, obok szkoły rosyjskiej myśmy się uczyli po pracy wieczorkiem w domu - rachunków, polskiego, pisaliśmy dyktanda i wypracowania. Tak uzupełnialiśmy swoją edukację. Codziennie były 4 lekcje, maksimum, ^{pięć} ~~cztery~~ niedziel. Po lekcjach nic nie było. W lecie pracowaliśmy przy pieleniu. Skończyłem 4 klasy i otrzymałem "pochwalną gramotę", ona mi zginęła, na ładnym kredowym papierze, medaliony z Leninem i Stalinem, złote litery "pochwalnaja gramota dla Zbigniewa Wacławowicza Myślickiego za otlicznyje wyniki" itd. Na drugiej stronie były namalowane moje ukochane woły i wóz, przeze mnie malowane.

W każdym razie z wyróżnieniem skończyłem radziecką szkołę, z czego tu nie skorzystałem. Przyjechałem do Polski, poszedłem od razu do klasy 7, był rok 46, a potem poszedłem do gimnazjum prywatnego. Jeszcze były wtedy takie. Chciano mnie cofnąć do 6 ~~klas~~

klasy, ale i tak miałem 2 lata opóźnienia, ^{więc} ~~ale~~ zgodzono się, że mnie przyjmą.

Nie umiem gramatyki polskiej, znam rosyjską. Natomiast nie robię błędów ortograficznych. Na pewno mam luki w przyrodzie szkolnej, w historii. Zresztą historii nie bardzo lubię. Chyba że tę od roku 39 do 48, reszta mnie mało interesuje. Znam ją np. z krzyżówek, ale historycznie jestem niedouczony. Wykształcenie religijne uzupełniłem, poszedłem do I Komunii w roku 46, mając 14 lat. Miałem pierwszego przyjaciela w Polsce, "Mafala Kwinto, zmarł parę tygodni temu, w Milanówku. Do mnie było trudno się przyzwyczaić - zaciągałem po rosyjsku, miałem gesty, nawyki rosyjskie, byłem bardzo mały. Podobno straciłem akcent rosyjski. Wszyscy mi mówią też, że podobno jestem jedynym ze znanych nam ludzi, którzy byli w Rosji, którzy nie boją się Rosjan. Wszyscy albo partyjni, albo się szalenie boją, albo są prorosyjscy. Ja się Rosjan nie boję, oni twierdzą, że ich bardzo dobrze rozumiem, zresztą jestem ze Wschodu, więc pewnie i tak mam mentalność bardziej wschodnią, ja ich rzeczywiście chyba rozumiem. Zresztą w narodzie 250-milionowym muszą być i porządni ludzie, którzy nie z ich winy - a może i z ich, to kwestia do dyskusji, są tacy czy inni, ale i porządni też są.

Trudno mi powiedzieć, czy dobrze mówię po rosyjsku. Nie znam języka luksusowego - nie wiem, jak jest unywalka, wanna, zastawa stołowa, salaterki, sedes, ~~to~~ tego nie było. Znam rosyjski potoczny i techniczny. Rozumiem wszystko bardzo dokładnie, co Rosjanom się nie podoba często, woleliby, żeby... jak piszą protokoły, to często na swoją korzyść, nie to, żeby chcieli oszukać, ale po prostu bronią swojej skóry, wtykają tam różne rzeczy, które ktoś nie bardzo rozumiejący język podpisze.

Ja, jak mówiłem, już nawet myślałem po rosyjsku, niestety, myś-
my między sobą, jako chłopcy, rozmawiali po rosyjsku. W szkole
siedziała koło mnie Koreanka, bardzo miła dziewczynka, mój
rocznik, siedziała ~~z~~^z lewej strony, na samym brzegu ławki.
W pewnym momencie powiedziała mi kiedyś - w trzeciej chyba
klasie - "ty polskij pan. Jak jej przyłożyłem, spadła z ławki.
Luśka Te się nazywała. Wyrzucono mnie ze szkoły, ale po trzech
dniach przyszła nauczycielka, poprosiła, żeby poszedł do szkoły.
Poszedłem, nie było już żadnych problemów.

Były różne akademie, 1 maja itp. nie bardzo to pamiętam,
przygotowywaliśmy różne figury gimnastyczne. Robiło się wie-
czornicę i młodzież popisywała się tymi figurami.

Sprzęt do pisania to była drewniana obsadka ze stalówką,
był przydział chyba ~~2~~²/na rok, bardzo było trudno o stalówki.
Atrament dostawaliśmy taki: pastylkę czarną jak węgiel do roz-
puszczenia, niestety kruszył się i wysychał, albo strugaliśmy
ołówki kopiowe, przywieźliśmy je jeszcze z Grodna; albo z sadzy.
W drugiej klasie były jeszcze zeszyty, potem już nie. Pisaliśmy
na kazachskich książkach drukowanych, między wierszami. Książki
szkolne ^{me}chodziły z klasy do klasy.

Wydaje mi się, że nigdy nie było nas więcej niż 10, w dwóch
razem uczących się klasach. Może czasem ~~12~~¹². Uczyliśmy się
bardzo dużo wierszy, z których pewnie niektóre pamiętam. Czy
nam wciskano kit polityczny? Nie przypominam sobie czegoś takiego

Po pobycie w Kazachstanie pierwszy raz znalazłem się w Rosji
w roku 69. I mimo, że byłem nastawiony krytycznie, nigdy nie
należałem do ZMP, byłem kontra, to jak pojechałem do Rosji, to
cieszyłem się, że tam jest gorzej, niż myślałem, bo jednak ta
propaganda w naszej prasie czy radiu, TV, wchodziła w uszy i
człowiek mimo wszystko, mimo, że zakładałem 1000 procent przesąd-
dy, to ucieszyłem się, jak zobaczyłem, jak tam jest. W tej chwili

jest w Rosji coraz gorzej, w tej chwili są kilometrowe kolejki w Leningradzie, koledzy właśnie wrócili; po cukier, nie ma cukru. Twierdzą, że to z powodu bimbru, ale... W innych miastach cukier jest na kartki, ale w Moskwie, Leningradzie, Kijowie kartelek nie ma, w strefie 60 km mniej więcej. Tam bardzo ciekawe są strefy podmiejskie - to jest tam, dokąd dojeżdża pociąg podmiejski. Do takiego pociągu można zawsze wsiąść i jechać. Tam nikogo nie kontrolują. Natomiast pociąg dalekobieżny, to przecież kolej jest zmilitaryzowana i konduktorzy nie wpuszczają bez specjalnej przepustki. Trzeba mieć zezwolenie na dalszy wyjazd, zawsze trzeba było mieć takie zezwolenie. Pojechałem do Rosji i mówią mi: popatrz, opowiadasz zawsze takie farmazony, a tu ludzie kupują w kasie bilety, nikt ich nie kontroluje. No rzeczywiście, byłem nawet zdziwiony. Raz w stanie wojennym stoję w Łodzi, dostałem delegację, córka wzięła przepustkę, był luty, rok 1982, czekam na taksówkę i słyszę megafon: uwaga, uwaga! przejazd dalej niż ileś tam kilometrów, ~~3~~ 20 czy 30, jest dozwolony tylko na podstawie przepustek. Każdy kupuje bilet na własną odpowiedzialność. I tu mnie dopiero oświeciło, że w Rosji też kupuje się bilet na własną odpowiedzialność, bo jak on nie ma propusku, to go do pociągów nie wpuszczają. Po co to robić tłok przy kasie? Takie przypadki dopiero pozwalają wyciągać prawidłowe wnioski.

Więc w tym 69 roku przedewszystkim był chleb, był postęp. Teraz nawet jest pod tym względem gorzej, bo chleba jest mniej i gorszy, a wtedy było go bardzo dużo. Chleb był w Rosji rzeczą podstawową, tam ludzie kochali i kochają chleb, bo chleba nigdy nie było, przez wiele dziesiątków lat. Chleb wolno leżący^{w koszyku}/w stołkówkach pojawił się dopiero w 58 czy 60 roku, że człowiek mógł zjeść i 5 pajdek. ⁴Uważać trzeba, że Rosjanie ze wszystkim jedzą chleb. Jak się z nimi idzie na obiad, to się zamawia chleb, po

zupie kelner u nas zazwyczaj zabiera chleb, ale oni do drugiego dania też jedzą chleb. Bardzo szanują chleb ze względu na ten wieloletni głód. My na szczęście jeszcze tego nie znamy, chleb mamy okropny, ale mamy. Ja też chyba nie nauczyłem dzieci dostatecznie szanować chleb, ale może nie będą potrzebowały go tak cenić.

Moi koledzy ze szkoły.

W osiedlu była z nami pani Maria Bratkowa z mamą i dwiema córkami, Krystyną i Ireną. Krystyna to była moja rówieśnica i moja pierwsza sympatia. Nie wiem, co się z nią stało, cały ich transport poszedł do Szczecina. O państwu Koreckich z Grodna już mówiłem, ona zabłądził w buranie i uratował go słup telefoniczny, jeszcze wówczas nie ścięty, to ratowało w tym buranie, to ratowało. Korecki był z synem, jednym z moich najlepszych przyjaciół, Romek Korecki, korespondowaliśmy jakiś czas po wojnie. Potem była pani Marciniakowa, która miała starszą ode mnie córkę Alicję i Bonifacego, Bonka, starszego ode mnie o rok. Pani Maria Baranowa z mężem, on w trzecim rzucie poszedł do armii Andersa i umarł na tyfus czy malarię w Taszkencie. Ostatnia, piąta dywizja formowana przez Borutę-Spiechowicza i Berlinga, najwięcej ludzi wtedy umarło na choroby zakaźne. Mieli dwie córki Baranowie - Romanę i Wacławę, z Romaną widziałem się w Szczecinie, Wacława też tam mieszka. Była pani Makowska z córką Ireną, młodszą od nas o rok i jeszcze młodszym synem, chyba Pietrem, potem się przenieśli do oddziału piątego. Była pani Zofia Krawcowa, jedna jedyna przed przekroczeniem granicy w Terespolu spotkała swego męża już tam, czekał na nią od wielu miesięcy i wychodził na każdy transport, bo nie mieli kontaktu. Ona miała trzech synów - Ryska^{iek} w moim wieku, Bogusław i Zenon. To byli wszyscy Polacy z mojego rocznika i ich rodzeństwo. Była jeszcze pani Rolińska z dwiema córkami, koleżankami mojej siostry

Danutą i Gertrudą. Była pani chyba Bobrowicz z córką, ta córka też mieszka w Szczecinie.

Ja uważałem za swoich kolegów starszych chłopców, z klas maturalnych, którzy imponowali mi, jeździli na traktorach i wołami, byłem wdzięczny, jak zabierali mnie ze sobą. Za mną z kolei też płatali się mali chłopcy, których zabierałem ja. Ci wszyscy młodzi chłopcy mieli szczęście, że do nas doszła wiadomość o armii Andersa, w roku ~~89~~ 1942 w lutym. Anders zastrzegł, że mają iść tylko samotni, którzy nie mają dzieci ani matki na utrzymaniu. Tego się nie posłuchano, wielu zostawiło matki. Oni tam poszli, część musiała wrócić ze względu na matki. Chyba siedmiu wróciło z więzień do tych rodzin, ale to wszystko byli Białorusini, prości ludzie, którzy byli rzemieśnikami, mieszkali na wsi, Rosjanie ich aresztowali na naszych terenach. Potem oni wrócili i poszli do Andersa, z wyjątkiem jednego obarczonego rodziną. Tak, że Kościuszkowcy zbierali już niedobitki, brali Polaków z roku 20, ale kto do jakiej armii trafił, to był zupełny przypadek. Nie było wyboru, miał szczęście ktoś, kto dowiedział się o armii Andersa i nieszczęście ktoś, ~~któ~~ do kogo to nie dotarło. Tak że tutaj mówienie, że ktoś sobie coś wybrał, to nieprawda. Do Andersa poszło wiele kobiet z dziećmi, rodzin, które uciekły. Moja mama zastanawiała się nad tym, ale nie zdecydowała się jechać ze mną i z siostrą w nieznane. Ci ludzie przeszli rzeczywiście gehennę. Opisał to pięknie mój kolega ze szkolnej ławy, Jurek Krzysztoń. "Krzyż Południa" jest książką świetną, na "na stepie" patrzę z przymrużeniem oka, Krzysztoń był tylko do roku 42 i pojechał do Andersa. W "Krzyżu Południa" pisze o spalonych człogach i spalonych człogistach, mało kto wie, że chodzi tu o ^{bitwy} ~~walki~~ o Grodno. Anders był naszym ideałem, przyniósł nam polskość, bo przecież byliśmy obywatelami radzieckimi.

Te polskość i niedzielną również

~~I tylko dzięki~~ niefrasobliwości naszego enkawudzistym, może jego nieznajomości przepisów, ale on przepisy znał, był inteligentny, ale nie spełniał swoich obowiązków jak na enkawudzistę przystało, przychodził grać z nami w karty i właściwie nikomu żadnego świństwa nie zrobił. ~~Chyba~~ ^{Chyba} nazywał się Łozin.

Jak myśmy dostali obywatelstwo polskie od Andersa, przestaliśmy być obywatelami radzieckimi i przestały nas obowiązywać ^{ich} prawa; nie mieliśmy obowiązku pracy, ale i nie mieliśmy prawa do jędzenia, Związek Radziecki nie miał obowiązku karmienia nas. I dzięki temu, że u nas to nie zostało wprowadzone, właśnie dzięki tej jego niefrasobliwości, byliśmy dalej traktowani jak obywatele radzieccy, pracowaliśmy i dostawaliśmy ten chleb, i mieliśmy tę stółkę. Dzięki temu nie umarliśmy z głodu. Przecież Wańkowicz pisał o ~~tej~~ rodzinie Korzeniowskich, ^{ich} właśnie wyłączono spod tego, jechali do Afganistanu tą rzeką w dół, po prostu nic dla nich nie było, wy Polacy, wolny naród, proszę bardzo, rób co chcesz. Ale to było i wadą zasadniczą. Potem nam dano znowu obywatelstwo rosyjskie po zerwaniu ^{z Sikorskim} ~~potem~~ przyszedł Związek Patriotów Polskich, u nas było koło ZPP, moja mama i pani Krycińska nie należały, ale ^{inne} ~~te~~ panie należały. Nikomu ani to pomogło, ani to zaszkodziło. Dary były dawane z ZPP, te same, co od Andersa i pewnie z tamtych zapasów. Ameryka zresztą karmiła Rosję przez cały czas - cała armia radziecka miała te same paczki unrowskie, co myśmy potem ^{destynali} ~~nie~~ - śniadanie, obiad, kolację - puszczone margaryny, 5 papierosów, amerykańskie, i dżem i sól, tabletki do odkażania wody. Tak samo, jak ci Rosjanie, którzy wieźli ten zrabowany sprzęt z zachodu, też żywili się właśnie tym, można było nawet z nimi się zapieniać. A więc ZPP też coś niecoś przysyłał, ale przynależność nie była ważna.

Część z tych kolegów, którzy poszli do Andersa, zginęła, część żyje, nie wrócił żaden do kraju, nauczony doświadczeniem. Z II Korpusu wróciło niewielku ludzi, ci, co wrócili, to od Maczka albo z I Korpusu, tutaj z Anglii, z II Karpackiej, która też była zasialana mocno ludźmi naszymi, stamtąd.

Praca wyedukowany zostałem w 44 roku w czerwcu, stałem się normalnym robotnikiem po ukończeniu 4 klas. Dostałem parę wołów, wóz, i zacząłem pracę jako furman. Pierwsze prace to było pojechać ze sprzedawcą, po chleb, do bentrali, coś przewieźć ~~poś~~ na terenie osiedla. Potem dostałem jedną z lepszych prac, tzn. woziłem pszenicę, spod kombajnu, od tego zależało ~~dalsze przżycie~~ ^{przeżycie}. Lubiłem tę swoją pracę furmana, te moje woły. O woły trzeba było dbać, jak dba się o samochód. Mnie dzisiaj wcale nie dziwi widok właściciela swoich kółek, jak czyści opony szczoteczką do zębów. Każdy chłopak czy każda dziewczyna pracował w lecie, w zimie dziewczyn ^{małych} do pracy nie goniono. Siedzenie w domu w zimie też było kłopotliwe. Ja pracowałem w roku 45 na 46 w zimie, wcześniej rodzina nie chciała na to pozwolić. Ale wtedy już miałem 13 ~~czy~~ 14 lat, byłem dorosły chłopak.

Miała się parę wołów, ~~na~~ którą się podpisywało, brało się za nią odpowiedzialność. Jak zdechły, to obciążano, jeżeli człowiek je zagonił np. ~~Sprawa utraty wołów~~ ^{utrącić y} było bardzo łatwe. Woły są łakome, jeżeli się najadły pszenicy, dostawały wzdęcia i jeżeli się ~~go~~ ^{ich} dobrze nie przegoniło, żeby ~~to~~ to dobrze przepędzić, to padały. O to trzeba było dbać.

Koszmarne dla wołów były gzy. Były duże, atakowały; jeżeli zaatakowały na pastwisku, to ugryzione zwierzę podnosiło ogon do góry i gnało do domu, a całe stado za nim. Tak, jak Zeb Mac Keyne pędził na westernie to bydło, to i tutaj te woły pędziły

przez step w ogromnym tumanie kurzu. I jeżeli się jechało przez osiedle i wołu w zaprzęgu ugryzł giez, to wół leciał do pierwszego z brzegu domu, razem z zaprzęgiem, chował się. Tak mnie załatwił wół w centrali w ostatnim roku, jak wiozłem chleb, ~~wyjechałem~~ ^{wyjechałem} Jeździło się tylko późno wieczorem albo wcześniej rano, bo gzy atakowały najchętniej w pełni słońca. One gryzły, zapuszczały jajeczka w skórę wołu, głęboko na pół palca wskazującego, strasznie go to bolało, swędziało, smarowaliśmy mu to naftą. Więc wracałem, wóz pełen chleba, ^{wóły} przewróciły wóz, złamały dyszel, i poszły do jakiejś sionki, wskoczyły tam z jarzmem. Wóz podniosłem z kolegami, załadowałem ale dyszel był popsuty, musiałem zostać, ukraść łańcuch i jakoś dojechałem, ^a następnego dnia do naprawy. Ale dostać dyszel jak nie ma drzewa, to rzecz ~~straszna~~ ^{straszna}.

Nasze wyposażenie to była para wołów, z których jeden musiał być podwierzch, bo jak się coś stało w stepie, ileś kilometrów od domu, człowiek siadał na wołu i jechał. Były przyuczone. Dalej dobrze dopasowane jarzmo, żeby wół dobrze, karnie ciągnął, a nie męczył się. Zanoski, to znaczy te, które się ~~zakładano~~ ^{zakładano} w jarznie, metalowe takie; przetyczka, która trzymała jarzmo z dyszlem, tak skonstruowana, żeby można było zjeżdżać z góry, żeby sama hamowała. Wszystko musiało być dopasowane, eleganckie błyszczące, no i wóz - dwa ślady, tzn, ~~przekoła~~ tylne idealnie za przednimi, szprychy cały, wóz nasmarowany, nie bijące koła, szczelna skrzynia. Po skrzyni odróżniało się hierarchię na osiedlu - było 4, 5 skrzyń, bardzo wygodnych, dosyć wysokich, najlepszych do wysypywania zboża i do tej hierarchii się dochodziło, jak już miałem taki wóz w ostatnim roku, trzecią parę ^(kolejności 15 wysięgach) wołów miałem wtedy, czy drugą nawet. Miałem woły zgrane, słuchające, niepotrzebny był bat, przychodzące same do domu. Moje woły były mądre. Jak ^{wóły} widział, że idę ^{po niego} do stada, to głowę do tyłu i

chodu, niby mnie nie ma. Miały w sumie dwa rogi, po jednym zewnętrznym. Łamte się złamały, bo leci, wbija się w ścianę.

Podstawową rzeczą, która musiała być bardzo ładna, ~~to~~ był bat^x i spojenie wołów. Woły się ze sobą wiązały^x za rogi, albo sznurem, albo największy szyk - to był łańcuch, ale na końcach miał sznurek albo z włosia końskiego plecionkę.

Woły kopały, gryzły, biły rogami, różnie. Mnie raz wziął na rogi, ale on się bardziej przestraszył niż ja, byłem mały, chyba przypadkiem, jak oganiał się od much, machnął głową, zaczepił mnie o guzik chyba, zarzucił mnie na rogi, a potem machnął i zrzucił a ja uciekłem. Trzeba było ostrożnie podchodzić z tyłu, bo kopały, koń kopie dwiema nogami, a wół jedną, ale ma rozdwojona racicę i jego kopnięcie strasznie boli. Najlepsze były łańcuchy ciężarówek amerykańskich, ze Studebakerów, /jak przyszły do nas, a raczej do Dżelanbetu, do tej kopalni, przejeżdżały przez nasze osiedle i miały te ~~te~~ łańcuchy.

Wszystkiego pod koniec wojny dostarczali Amerykanie. Na ich żądanie Rosjanie wprowadzili mundury i stopnie wojskowe, epolety, przedtem wszystko to był tylko kamandir, politruk, do 42 roku. Przecież wtedy nawet jeszcze nie było hymnu państwowego, tylko Międzynarodówka. Gazety na całych stronach opisywały co dostali w danym tygodniu od Amerykanów - tyle i tyle statków, tyle i tyle samolotów, jedzenia, ^a zboża, samochodów, amunicji. Wojna była wtedy prowadzona ludźmi rosyjskimi na sprzęcie i wyżywianiu amerykańskim. Łańcuchy ze Studebakera były piękne, malowane na zieleono, elegancie, ogniówka takie okrągłe - to był szczyt. I bat. Narzędzie podstawowe. Jak ja - 1,50 m ^{wzrostu} szedłem drogą, to za mną dopiero 3 m dalej ~~koniszyxxsiixbatxxkaxsiixkurzyix~~ powinno się kurzyć, tam ^w był dopiero koniuszek. Jak się stało na końcu skrzyni, jak się trzepnęło batem - a jeszcze się strzelało - dostawało się do karku wołu. To był szyk. Te baty kradli bez przerwy jedni drugim. Można

było wszystko oddać, nawet chleb, jedzenie, za ramię. ^Żeby dostać dobry bat, to była podstawa furmaństwa. Jak to - furman z kijem?

Jak zacząłem w roku 44, pracowałem do pierwszego śniegu, do żniw, później siedziałem w domu i gotowałem obiady. Kolacje robiła już pani Krycińska. Wszyscy pracowali, a ja, jak się ściemniało, gotowałem zupę, prażuchę czy coś.

Moja mama była nocnym stróżem, ^a pomagierem buchaltera później. Pani Krycińska zawsze była zawtokiem, potem zaw spichrza. Siostra na początku miesiła tę glinę nogami, potem była prycepszyj, to znaczy jeździła na przyczepach i czyściła bronny, pługi itp. Na siewnikach nie jeździła. Pracowała przy sianekosach, na skir-dowaniu. Potem zaczęła pracę jako uczetczik, czyli robiąca wyliczenia, rachunki. Latała z takim dwumetrowym dwunogiem, taki jakby otwarty trójkąt, i mierzyła, ile pieriepołki zrobiliśmy na przykład, ile traktarzysty zaorał; mierzyła powierzchnię w terenie. Wytaczała też - czego nie znosiłem, jeździłem z nią wtedy - tyczkami działki dla traktorów. Np. z jednej strony pola sto metrów, z drugiej, żeby traktor jechał prosto kilometrami. Ziemia jest trochę okrągła i bez tyczeń traktarzysty nie widziałby prostego przebiegu działki. Tam na tyce stawiało się taką wieszkę - tykę z wiechą na górze, potem jechało się dalej, ~~potem~~ trzyło się, gdzie jeszcze tę tykę widać i ustawiało te działki. W ostatnich dwóch latach awansowała na buchaltera i wzięła mamę jako pomagiera.

Ja [↑] tylko zeszły śniegi, zawchoz mówią: szykować wozy i woły, dzisiaj wieczorem będzie rozdział woków. Więc myśmy szli do stada i każdy łapał parę, zapisywano, że ten wół jest tego i nikt inny nie mógł ich brać do żadnej pracy bez zgody właściciela. Jak ja jechałem do innej roboty, moje woły stały w stadzie i pasły się. Miałem prawo wyprzęgnąć komuś swoje woły,

gdyby je wzięt.

Zaczynały się siewy, woziko się pszenicę na siew. Nadmiary pszenicy wrzucaliśmy do takich dużych przyczep, jako rezerwę na później; jak zabrakło w ciągu dnia, nie trzeba było wracać do ośrodka, tylko nabierało się z tych skrzyń, co było zresztą bardzo ciężką pracą. Potem szliśmy na sianekosy z wołami, ja pracowałem na grabiarce za żniwiarkami i moja grabiarka nie zabierała dwóch żniwiarek, tylko zostawał pas nie zebranego siana i ja po zakończeniu pasa musiałem jeszcze raz przejechać okrężenie, te 10 km, żeby zebrać siano z tego pasa. Woły chodzą 6 km na godzinę, chodzą galopem i biegiem. Jak wracaliśmy wieczorem, urządzaliśmy sobie wyścigi wołów, czego nie wolno było robić. Ja miałem drugą parę wołów, bo miałem drugie miejsce w tych wyścigach. One mogą to robić na krótkim dystansie.

Wydajność zależała od wołów, inaczej niż na traktorze.

Przychodziły żniwa, woziliśmy pszenicę spod kombajnu i słomę do domu na zimę.

Ostatniej zimy pracowałem w transporcie, wozikiem siano do obory w osiedlu, bardzo ciężka, zimna praca. Śnieg był tak zmrożony, że na parę kilometrów słychać było dzwonki, jak się jechało i donośne chrupanie przy wchodzeniu rąk w śnieg. Zapadanie było dopiero na wiosnę, po kostki, nawet do pół kolan.

Najgorsza pora jeżeli chodzi o ubranie nog, to było po zejściu śniegów, jak było to ogromne błoto, zimne, grząskie od gliny, nie mieliśmy żadnych gumowców, walonki się już nie nadawały, ^{dużo} brezentowe kapcie, wtedy się chodziło w tych pastożach.

Wpływ wydarzeń historycznych na nasze dzieje

Jak wojna sowiecko-niemiecka wpływała na mieszkańców Kazachstanu, na nas tam zesłanych? Wybuch wojny spowodował pobór do armii radzieckiej samych obywateli rosyjskich. Nie brano Kazachów, Tatałów ani innych narodowości w roku 1941. Oni natychmiast w 90% dostali się do niewoli, lub byli ranni. Śmiertelnych przypadków z naszych okolic było niewiele. Oni trafili na pierwszy okres tego "zdawania się w prijad", czyli oddawania się Rosjan do niewoli, późniejsze ich sprawy są znane, jak potraktowano jeńców, ~~nie wiem~~ ale mnie już wtedy na szczęście tam nie było. Zostaliśmy, zostało wielu mężczyzn, wszyscy Polacy, Turcy, Azerbejdżanie, Kazachowie; pod koniec wojny natomiast, w roku 43 zaczęto brać już na front wszystkich, nie bacząc na narodowość. Tych zginęło najwięcej, bo oni szli w czasie tego zwycięskiego marszu na zachód, gdzie ich porządnie Niemcy trzebili. ~~pta~~

Dla nas wojna spowodowała przede wszystkim utratę całego sprzętu mechanicznego, samochodów, tych 5 ZIS-ów, które dowoziły zboże od kombajnów, chleb, części zamienne do maszyn. Zabrano też wszystkie lekkie traktory, choć myśmy nie mieli wielkiej straty, bo mieliśmy tylko ^{en} jednego. Ciężkie traktory gąsienicowe zostały. Cały transport został przerzucony na woły, stąd wielka rola i wysoka ranga furmana jeżdżącego wołami, jak ja, który to furman po traktorzyście był na 2. miejscu.

Zabrakło mężczyzn, Rosjanki poznajdowały sobie mężów zastępczych. Koniec wojny był straszny, zaczęli wracać ci właściwi mężo-
zakończenia
wie, cała radość/wojny była przysłonięta problemem, co będzie dalej z tymi sprawami, bo to i dzieci nowe się pojawiły itd.

Zakończenie wojny pamiętam. Zostało nas przy siewie owsa, na polu numer 8, dosyć daleko, z 5 - 6 km od nas. Owies przy żniwach też zapisał mi się w pamięci, bo w czasie żniw owsa wlażem

na kosę przy jakiejś zabawie. Chodziliśmy na bosaka, była strasznie gruba skóra na piętach. Rozwinęła^{mi} się jakaś poważna infekcja, ropiło się to strasznie, noga była spuchnięta, ropa nie miała jak wyjść, bo skóra była gruba jak na zelówie, nie można było chodzić boso, więc chodziłem w lecie w walonku, nie wkładałem nogi do końca, tylko chodziłem jak na koturnie. Stąd ten owies tak pamiętam, pamiętam też sianie tego owsa. Owies zresztą dla nas, młodych chłopców, był zbawieniem, bo jest bardzo lekki i ładowanie do worków i przenoszenie^{go} to ~~była~~ pestka w porównaniu z żytem czy pszenicą.

Więc około 10 maja, bo tam wiadomości nie rozchodziły się tak szybko, przyjechał ktoś z centrali na koniku i powiedział, że wojna się skończyła. No i na tym zabawa się skończyła, nie słyszałem żadnych okrzyków radości, ani hura! Dla nas to znaczyło, że może coś się ruszy i może ktoś sobie o nas przypomni. Ten wpływ wojny był na poziom naszego życia minimalny + wyprodukowaną pszenicę zabierano w całości, czy była wojna, czy nie, zostawiano tylko do siewu. W sklepach nie było nic przed wojną, w czasie wojny ^{ani} po wojnie, przez ten rok, jak tam byłem.

Nas interesowały raczej sprawy polskie i wojska Andersa i kościuszkowskiego.

Z powodu wojny tylko pojawiły się nieznane tu wcześniej zwierzęta, mianowicie wilki, które przeniosły się ze strefy europejskiej do azjatyckiej, cofały się przed frontem i znalazły się tutaj. Nie było plagi, ale były ciekawostką.

Na przełomie 45/46 przywieziono jeńców japońskich.

Powroty Rosjan z frontu - sporo było rannych. Wszyscy wracali jako gieroje, zajmowali stanowiska w partii, szanowiska zawchozów, uprawiających. To już nie byli fachowcy, ani ludzie obeznani z tamtejszą technologią prymitywną uprawy zbóż i dopro-

wadźali ^{wszystko} do ruiny. W tej chwili Rosjanie zaczynają przyznawać, że po wojnie spadła u nich cała uprawa, zmarnowali całą tę kazachską ziemię, zaoraną przez Breżniewą. To wtedy właśnie zaczęli się pojawiać bohaterowie, zasłużeni, a nie fachowcy.

Byli również ludzie ewakuowani, mieliśmy 3 rodziny z Leningradu, które nie wiem, czy wróciły do siebie - przyjechać było dość łatwo, natomiast wyjechać stamtąd bardzo trudno.

Jeszcze jeden epizod z mojego życia. Byłem, jak już mówiłem, bardzo chory na zapalenie płuc. Po wyleczeniu moją pierwszą pracą było przywiezienie białej gliny, żeby wybielić dom. Pojechaliśmy w 3 pary wołów, pojechałem ja sam jako mężczyzna, już miałem 13 lat, pojechała jedna starsza pani, pani Zdrojewska, która miała ładny majątek pod Grodnem, i pojechały 3 dziewczyny w moim wieku. Pojechaliśmy za oddzielenie numer 3, czyli 18 km plus 5, 23 km dla wołów, 6 km na godzinę, a więc parę godzin jazdy. Na zboczu wąwozu pojawiło się złoża białej gliny i wszyscy z tego sowchozu tam jeździli. Wchodziło się do takiego dołu z nawisem i tam się kopało. W pewnym momencie jedna z dziewczynek, Niemka, Elwira Luft, została zasypiana, bo zawalił się ten strop tego dołu. Straszny krzyk, to zasypianie na szczęście nie było tak wielkie, bo spadła czerwona glina w grudach, bez kamieni na szczęście. Szczęśliwie łopata, która stała obok tak się pochyliła, że osłoniła jej głowę. Odkopaliśmy ją błyskawicznie i okazało się, że ma zdruzgotaną kostkę u nogi.

Zakładowałem ją na wóz, można sobie wyobrazić jazdę nieresorowanym wozem po tej drodze w stepie, z prędkością 5-6 km, do najbliższego osiedla. Trwała jeszcze zwózka zboża, natychmiast złapałem samochód, który jechał do centrali. Położyliśmy ją na ten 3-tonowy ZIS, wysokość skrzyni tam jest około metra. Jak ją przewieziono te dwadzieścia ^{pa} ~~prę~~ kilometrów do centrali, to jej krew przesiąkła

przez pszenicę aż do dna samochodu. Byłem z nią cały czas do samochodu, potem była z kierowcą. Była bardzo długo leczona, nikt oczywiście jej tych kości porządnie nie zestawił, wróciła po 4 miesiącach i chodziła o kuli i tak ją zostawiłem, jak wyjeżdżaliśmy. Do dziś pamiętam jej jęki, jak ją wiozłem, jak najszybciej, ale jednocześnie nie za szybko, żeby ją mniej bolało - no, ale w wieku 13 lat człowiek decyduje się czasem na różne rzeczy... Miałem jak zwykle w swoim życiu szczęście, że ~~byłem~~ ^{byłem} na ~~ten~~ ^{ten} samochod; trudno sobie wyobrazić, co byłoby, gdybym miał ją ~~wiać~~ ^{wiać} wieść jeszcze te dwadzieścia parę km z tą prędkością - chyba by się wykrwawiła na śmierć. Przecież nic nie mieliśmy, żadnych bandaży, nic kompletnie. Ja wróciłem bez tej białej glinki.

Powrót

9 kwiecień 1946 rok. Znowu mam szczęście, przyjdę kiedyś wieczorem do kantoru, w którym pracowała moja siostra, jej tam już nie było. Telefon już chyba był, a może ktoś przyjechał z centrali do uprawiającego. Powiedziano do niego: jutro Polacy wracają do domu, mają być wszyscy w centrali. On na mnie popatrzył i mówi, wołaj Zbyszek wszystkich Polaków. Poleciałem, śnieg jeszcze leżał, bo dopiero dzień później zaczęła się wiosna i mróz zelżał. Poleciałem, wszyscy dorośli przyszli, emocja duża. Z mojej mamy uprawiającej zażądał: no, wszyscy jadą, a pani Myślicka zostaje. Matka ~~omal~~ ^{nie} nie dostała zawału.

Była już lista, ktoś ją przywiózł, ^{nie} to nie było telefonicznie. Pamiętam tylko, że telefon tam wisiał, takie duże pudło, chciałbym nawet mieć teraz coś takiego w domu, z ogromną słuchawą i na korbkę. Okazało się jednak, że jadą wszyscy, z wyjątkiem jednej pani, która podawała się za Białorusinkę. I pani Mickiewiczowa, która była przewodniczącą ZPP, zresztą pochodząca spod Nowogródka, energiczna kobieta, chyba Zofia, ona też została. Nie mam pewności, ale przypuszczam, że kombinowała sobie, że dużo łatwiej

Przeżyje, jeżeli poda się za Białorusinkę. Oni byli skrupulatni, to się mówi o bałaganie rosyjskim, ale tu nie było bałaganu.

Najgorszą sprawą było to, że za każdym razem wymagano tych dokumentów, jak już to opisywałem - te metryki, nawet ten telegram z Milanówka, że siostra mamy czeka na nas. Depesza szła rok, wysłała w 45, doszła na początku 46, wysłana tuż po wyzwoleniu Warszawy.

No więc zaczęło się. Mamy wyjechać. Przyleciało do mnie sporo ludzi, żeby dostać mój sprzęt, do dziś żałuję, że oddałem mój bat, - przekazać woły. Powiedziałem nie, wołami jadę jeszcze do centrali. Nasze 6 kur mieszkających pod stołem ^{poszło} pod nóż, nasze dwie gęsi pod nóż. Dostaliśmy w centrali każdy po 20 puszek makreli amerykańskich, to były jeszcze z pewnością zapasy andersowskie. Świetna ryba ta makrela. Ja potem nie jadłem rybek w oliwie do sześćdziesiątego którego roku. Czarny chleb i makrela to były nasze śniadania i kolacje przez miesiąc powrotu. Pani Krycińska ugotowała to wszystko, popakowała, załadowaliśmy się raniutko na sanie, i znowu te 18 km do centrali.

Zakwaterowano nas wszystkich z tych oddzielenij w kancelarii, w magazynach, kuźni. Myśmy mieszkali w kancelarii, w gabinecie głównego buchaltera, ze względu na poprzednią pracę siostry. Siedzieliśmy tam 3 dni, była wiosna, świetny nastrój. I tam wynikła sprawa kryminalna. Miałem wtedy dosyć dużego pietra. I jeżeli teraz mnie na przykład ciągną do Pałacu Mostowskich, to ja mówię, że miałem już do czynienia z NKWD i milicją radziecką i niczego się nie boję.

Historia była następująca. Poprzedniego roku po żniwach, wieczorkiem, podczas młócki, przychodzi do mnie gieroj Sowieckow ^{ts} Sojuza, który był uprawiającym, ranny, kulawy, Bielakow, wrócił z wojny, jego brat był woziwodą, ojciec pastuchem a on nie wiem, co robił przed wojną, w każdym razie miał 10 klas. Pracował chyba w rajspółkomie czy jakoś tak. Był wrednym człowiekiem, trzeba to

jasno powiedzieć, nie lubiano go. Został kaleką, to go może tak złośliwie nastawiało do ludzi i pod jego rukowodstwem nie chwaliliśmy sobie tego życia. Zawołał mnie - można było krzyknąć ze środka placu i słychać było wszędzie - i kolegę mojego; zaprzęgajcie wóz, jedziemy. On siadł na konia. Pojechaliśmy. Na to samo pole, gdzie sialiśmy owies, obok była siana pszenica. To było ze 4 - 5 km. Podjeżdżamy, on odgarnia słomę, proszę zobaczyć: był dół, wykpany, albo przez topniejącą wodę wyłobiony i cały ten dół był wypełniony pszenicą, po prostu podjechał kombajn i wysypał pełny zasobnik. To było elegancko zakryte. "Proszę załadować, jedziemy". No dobre to załadowaliśmy i zawieźliśmy. "Wstawcie wozy do spichlerza". No, wstawiliśmy, następnego dnia zabraliśmy je. ^{czy cztery}Więc siedzimy w centrali te trzy/dni, dostaliśmy zastrzyki, czekamy na wyjazd do Polski. Zastrzyk - słynny koktajl na wszystkie dżumy i cholery i inne rzeczy, najboleśniejszy zastrzyk, jaki w życiu dostałem, przez 4 czy 5 dni nie można było ręką ruszyć, pod łopatkę, coś niesamowitego, ludzie chodzowali, mieli gorączkę. ~~Oni z tego ni z owego~~ Dostawaliśmy w tej kancelarii wtedy rozliczenia, pieniądze, zaświadczenia, że się pracowało, ludzie kombinowali co mogli na wszelki wypadek, zresztą pisane to było takim atramentem, że nie można tego odczytać.

Więc ni z tego ni z owego wzywa mnie milicjant. Idę, już nie było tego poprzedniego, który dąbował nam w tych skirdach ze słomą, szukał pszenicy, tego Kazacha; ten był Rosjanin, spokojniejszy. I mówi do mnie: wyście pszenicę tam i tam z Bielakowem kiedyś wozili." No, wozikiem. "Coście zrobili?" To powiedziałem wszystko, a on mówi, że ta pszenica zginęła, ukradł ją ten uprawiajuszczyk. To jest pewne. Oni mieli taką lepiankę i mieli żarna, ja tam do nich czasami chodziłem mleć, bo ich żarna były zmechanizowane, męło się poziomo ~~xxxxx~~ na stole, z przełożeniem, jak wialnię,

w każdym razie duża technika, sypało się do zasobniczka pół kilograma ~~czyx~~ kilogram, to bardzo szybko i łatwo szło. Oni nie bardzo chętnie udostępniali, ale jego najmłodszy syn, Sa~~ka~~^{ny}, starszy ode mnie o 2 lata, był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Mówi milicjant: pojedziemy jutro na wizję lokalną. ~~My~~^A nie wiemy, kiedy będzie wyjazd, może właśnie jutro. Jechać znowu tam i z powrotem, nie wiadomo ile to potrwa. Matka mówi, nie, nie pojedziesz nigdzie, poszła do niego i on to zrozumiał, niezły był człowiek. Spisał moje zeznania, podpisałem i koniec. Tak się to skończyło. Ale inaczej - co bym wspominał?

Następnego dnia podstawiono traktor z ogromnymi dwoma saniami. Wczoraj spojrziałem w telewizor, i obejrzałem całość programu. To film "Więcej światła", w polskiej telewizji puszczono film o "nowym spojrzeniu", to było w gruncie rzeczy stare spojrzenie, wychwalano Stalina niechęć. I tam pokazano właśnie te traktory z ogromnymi saniami. Z drewnianych kłód zrobione płozy, szerokie, połączone poprzeczkami, na to rzucone deski, na to siano. Załadowaliśmy się wszyscy na tych dwoje sań, podczepiono traktor, porządny diesel, Stalinię i ~~po~~jechaliśmy. Było nas ze 40 rodzin więc ponad 100 osób. Może to były dwa traktory, ale zdaje mi się, że jeden zabrakł wszystkich.

I znowu te 18 km ^z ~~na~~ centrali na stację. Po 6 latach pierwszy raz zobaczyłem pociąg, przeżycie ogromne. Lokomotywa. Ogromna, lokomotywa Feliks Dzierżyński jest zresztą bardzo ładna, w ogóle jako mechanik jestem miłośnikiem urody parowozu. Parowóz to jest wizytówka mechanika - tam jest wszystko, instalacja parowa, i kotły i przełożenia, i oczywiście gwizdek, i hamulce - cała mechanika i termodynamika siedzi w parowozie.

Wyładowano nas na rampie na stacji ~~Szortan-de~~ ^{(Szortan-de (Szortand))} i siedzieliśmy tam 3 dni. Transport szedł od Karagandy i Akmolinska, zbierał wagon

Spałem pod ławkami na stacji, na tej rampie wśród bagaży, płataliśmy się tam, jedliśmy, zaczęliśmy wtedy zjeść te kury i makrele, bo nic nam nie dawano, chleb już nam nie przysługiwał.

Podstawiono transport. Teraz to już był 15 czy 16 kwietnia, nie wiem tego dokładnie, bo nie liczyliśmy./Transport ruszył.

Teraz było zupełnie inaczej. Otwarte drzwi, karmiono nas zupą. Ubikację mieliśmy jak poprzednio, dziura w podłodze za dyktą i w wagonie piecyk do gotowania. "Kipiutek jest? jest, no chłodnyj!" Na mnie wskoczyli za to w Leningradzie kiedyś, przecież to prawdziwo! Ja mówię, no, skąd prawidłowo.

Jechaliśmy przez Pietropawłowsk, Swierdłowsk, Ural. Na Uralu miałem przygodę. Mianowicie jak się jechało, pociąg stawał na bocznicach, na stacjach, przed stacjami, różnie. Trzeba było przynieść wody do mycia i do gotowania, no i trochę rozprostować kości, a poza tym coś zobaczyć po sześcioletnim siedzeniu w kwadracie 18 km na 18, to był wielki świat. Bywało, że pociąg ruszył i ludzie zostawali. Myśmy mieli z mamą taką umowę. Mama miała papiery, a myśmy z siostrą byli w te jej papiery wpisani. Więc było umówione, że jeżeli ktoś zostanie z nas niechcący - a mama nie ruszała się z wagonu - to wtedy matka wróci po któregoś z nas i dogonimy transport. On szedł bardzo powoli, co po paru dniach stwierdziliśmy. Można było złapać jakiś pociąg i dogonić, bo ten transport szedł innym torem, bardzo powoli, kolejarze mówili, jaką drogą poszedł transport, byli bardzo życzliwi.

Koło Uralu pociąg się zatrzymał, na górceczkach leżał jeszcze śnieg. Ja wyskoczyłem na bosaka, żeby było szybciej, wziąłem wiadro i poleciałem do tyłu pociągu, do wodokaczki, gdzie była woda do napełniania parowozu. Pociąg gwizdnął i poszedł. Nie wiem, czy nabrałem tej wody, w każdym razie genilem z pustym wiadrem. Wskoczyłem jakoś na brek w jednym z ostatnich wagonów, ale na brek

przedni. Było w związku z tym piekielnie zimno, ja byłem lekko ubrany. On jechał i jechał, zazwyczaj zatrzymywał się co godzinę, półtorej, a teraz walił 3 godziny. Pamiętam, że nogi trzymałem w wiadrze dla osłony przed zimnem. Na pierwszej stacji biegiem do wagonu matka się już denerwowała. Na szczęście sprawa tylko na tym się skończyła.

Potem był Swierdłowski, a potem pojechaliśmy górą, na Kirow, Kalinin, Mołotow, który teraz znowu nazywa się Perm, a potem na Moskwę i Jarosław. Potem Bałagoje, Wielkie Łuki i tutaj spadliśmy w dół. Jako dorosły szukałem w atlasach kolejowych, ale nie mogłem znaleźć takiej linii. Wreszcie się zorientowałem, gdzie wjechaliśmy na tereny polskie; to była nieużywana wojskowa linia. Wjechaliśmy między linią na Stołpce i na Wilno. Ominęliśmy Wilno i przed Grodnem odbiliśmy w boczną drogę na Lidę, Baranowicze, Brześć. Zrobiliśmy bardzo duże koło. Myśleliśmy, że do Grodna pojedziemy, no, niestety, nie.

Od czasu do czasu dostawaliśmy zupę na stacjach, żywiliśmy się tymi makrelami i kurami, chleb nam dawano i handlowaliśmy tym, co jeszcze nam zostało: guziki, pasek jakiś, koszulka. W każdym Mieście był targ, najbardziej zniszczone miasto, jakie widziałem przed Warszawą to były Wielkie Łuki, jedna wielka ruina; a targ był. Widziałem drewniane chodniki, pierwsze tramwaje, zobaczyłem w Kalininie. Pierwsze odwieszanie nam zrobili w Bałagoje. Zabierają ciuchy i wiedzącą dosyć luźno, podciągają do góry i suchą parą w bardzo wysokiej temperaturze te ciuchy nasycają, to nabija insekty. My tymczasem idziemy przez łaźnię. Mydła prawie jak glina, a przecież w Kazachstanie myśmy w ogóle z gliny mydła robili! Przecież np. piaskiem czy szlamem też można się umyć. I czyści, eleganccy wyjechaliśmy z Bałagoje.

W ZSRR
Odrębną sprawą są ubikacje. To jest coś, co mnie zafascynowało w powrotnej drodze. Ubikacja w Mołotowie, trzeba powiedzieć, że

bardzo higieniczna. To było pomieszczenie około 6 metrów długości, równy beton i w tym betonie dziury, a pod spodem płynął strumyk, bardzo czystutko. I siedziało się nad tymi dziurami. Bez żadnych przepierzeń, jedni obok drugich, chyba męska od damskiej oddzielona. Potem, w 69 roku, widziałem ubikację na Dworcu Białoruskim, męską. Ogromne koryto do potrzeb lekkich, na końcu koryta siedział ten, co czyści buty. I wzdłuż kabiny oszkłone do wysokości pół metra nad ziemią, z przegrodami. Wszystkich widzi jak siedzą z ten co buty czyści. Tylko ludzie nie widzą się między sobą, ale widzą każdego, kto wchodzi, tych, co sikają i tak dalej. I ten co czyści buty pilnuje wszystkich. Jako papier - „Ogoniek” pokrajany na kawałki, błyszczący, rękę można sobie zwichnąć, można się podetrzeć Leninem, kobietą z uszczęśliwionym dzieckiem, traktorem. No i nacięty „Ogoniek”, trzeba go wrzucać do kosza. To są te drobne radości życia w ZSRR.

Na targach w poszczególnych miastach wymienialiśmy ~~za~~ guzik. Mówili nam, że pociąg będzie stał 5 czy 6 godzin na pewno, mógł prysnąć, ale raczej stał. Jakoś radziliśmy sobie. Dzieci zebrały o cukierki, o chleb, tak jak w tamtą stronę.

Widzieliśmy, jak jechał cały sprzęt zrabowany na terenach zachodnich przez Związek Radziecki - wiozło to wojsko, szły ogromne transporty, w skrzyniach popakowane, nie wiadomo co w środku, widać tylko, że maszyny i ~~noc~~ maszyny luzem. Moc różnych dóbr ~~metalowych~~ metalowych, stali, wszystko waliło w tę stronę. Mija- liśmy się bardzo często.

I to, co już mówiłem - obsługa tych wagonów miała paczki unrowskie.

Żywili się z tych paczek unrowskich - breakfast, dinner, supper. Jedna była chyba czerwona, druga niebieska, trzecia zieloną, w każdym razie breakfast w odcieniu czerwieni, może bordo. Można było od nich ~~ik~~ to wyhandlować, jeżeli się coś miało na sprzedaż, szczególnie bimber. Myśmy bimbru nie mieli, ale co bardziej zapobiegliwi wieźli bimber też; najlepsza waluta wymiennalna, jak zawsze. Przyjechaliśmy do Brześcia. Jeszcze przedtem wjechaliśmy na tereny polskie, zobaczyliśmy na jakiejś górze polski kościół. I chyba wtedy ^w wszystkich wagonach zadziałały hamulce bezpieczeństwa i cały transport runął. Ksiądz wyszedł, dał rekwiararz do pocałowania. Były śpiewy, płaczu bardzo dużo, cały czas gudok, czyli sygnał parowozu, żeby wracać. Potem powrót i pojechaliśmy dalej.

Dalej jechaliśmy bardzo szybko, Baranowicze widzieliśmy tylko nie chciano nas stykać z ludźmi, którzy tam mieszkali, jeszcze tam byli prawie sami Polacy.

Przyjechaliśmy do Brześcia. Nie wiem, co to był za dzień, wiem, że 9 maja byliśmy w Warszawie, pamiętna data, bo było święto, czyli jechaliśmy miesiąc od ogłoszenia. Brześć był zawalony samochodami osobowymi. Jeżeli ktoś był w Brześciu, to nic się teraz nie zmieniło, tory pod przejściem do miasta, ogromna bocznica. I na tychże torach, bo tory były przejezdne, stały samochody - Ople, ^{erz} Marymagi/??/, Mercedesy, NSU, BMW, wszystkie niemieckie. Dlaczego tam tak dużo? Rosjanie pozwolili swoim oficerom^{VA} powracającym z Niemiec, może podoficerom też, rekwirować maszyny. I oni przyjeżdżali samochodami, tacy zadowoleni, na most na Bugu i tutaj za mostem im to odbierano i wszystko składowano. Zdemobilizowanych brand^Itezej tylko na przesłuchania, jeńców byłych wsadzano do obozów.

Jak już odjeżdżaliśmy, przyszedł żołnierz służby granicznej radzieckiej, sprawdzać; ^{tedy} to ja gotowałem na bocznicy ziemniaki.

I on nawet nie żądał, że~~hym~~ ~~ja~~ przyszedł do przedziału. Myśmy przewieźli dwie osoby: dziewczynkę i 1 panią, z tym, że dużo ludzi wysiadło po drodze. Ci, co mieszkali na wsiach na tamtych terenach, o takich nazwiskach jak Kowalczyk, Prokopczyk, to raczej wysiadali po drodze. Mieli tam rodzinę, matkę, ciotkę. Księżukowie ^{też} zostali. Transport dojeżdżając do granicy polskiej był więc dużo mniejszy niż przed granicą. Kontrola nie była zbyt surowa. Myśmy te kartofelki zjedli, wsiedliśmy, pociąg ruszył, przejechaliśmy Bug i wjechaliśmy do Terespoła.

Tam, jak już mówiłem, na panią Krawoową czekał mąż, jedyny znane mi spotkanie, ale on nie był aresztowany, ale uciekł do Niemców, a ją zgarnięto chyba za siostrę, czy za coś, nie za męża.

Dojechaliśmy do Łukowa, gdzie nam powiedziano, że transport idzie do Szczecina, a kto ma rodzinę w Warszawie i chce jechać do Warszawy, to proszę bardzo. Zebrał się nas wagon. Przesiedliśmy się i pojechaliśmy do Warszawy. W nocy obrzucono nas na trasie kamieniami, wywieszono gdzieś transparent: "Po co tych Żydów wnieście? do Polski?", napisy takie się pojawiły na naszych wagonach. To było dla nas zdumiewające, naprawdę.

Przyjechaliśmy rano 9 maja na Dworzec Wschodni w Warszawie. Bez grosza, bez niczego, musimy się dostać do Milanówka. Nie było żadnego punktu imigracyjnego, wszystko zamknięte, wagon odstawiono na bocznicę i powiedziano, żeby się do wieczora wyładować. Koniec. Pani Kryczńska poszła piechotą przez most pontonowy do syna na Bagatelę, zastała go, wróciła, on wziął podwodę z parą koni i przerzuciliśmy się z parą koni na EKD na róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej, na samym rogu. Wsiedliśmy do wagonu, ja miałem worek z pszenicą, różne cuda ze sobą mieliśmy, byłem w połatanych spodniach, siostra w byle jakiej kurteczce. Bagaży mieliśmy tyle, że we troje bez trudu wszystko naraz zabieraliśmy, nie trzeba było

nic osobno przenosić, bagaży praktycznie nie^{by}ło żadnych . Tylko pszenica na wszelki wypadek, trochę pościeli, jakiś koc.

Kiedy nas konduktor zobaczył, przeciął mamy kartę repatriacyjną. Mama została z bagażami, ja poleciałem do ciotki; ciotka i przełożona i zachwycona. Wynajmowała dwa pokoje z trzypokojowego mieszkania, sama mieszkała razem z babcią w jednym pokoju. Zaraz przynieśliśmy resztę tych tobołów ze stacji i rozpoczął się normalny żywot milanowski.

Mama dostała zaraz - bo miała moc koleżanek nauczycielek - pracę. W lipcu dostała już pierwszą pracę jako wychowawczyni na koloniach szkoły im. Słowackiego, u p. Michałskiej, ^{jest o niej} ~~w której~~ bardzo ładnie ~~piszą~~ napisane w książce o tym liceum. Dzięki temu ja dwa tygodnie spędziłem w Leśnicy koło Strzelc^{ów}/Opolskich, zwiedziłem Opole, Kędzierzyn, Zdzieszowice, widziałem te wszystkie straty zrobione zresztą przez Rosjan, wywiezione Zdzieszowice, cały Kędzierzyn, Opole - opuszczone domy, można się było wprowadzać; w 46 roku można było jeszcze coś zdziałać na Ziemiach Zachodnich.

Potem mama dostała pracę jako normalna kontraktowa nauczycielka, nie chciała wracać do gimnazjum, bo uważała, że wyszła z kursu i uczyła matematyki w szkole podstawowej, do lat 78 chyba.

Ja poszedłem do 7 klasy, ale wtedy była ósma klasa, bo była reforma szkolnictwa. Poszedłem do tzw. klasy wyrównawczej w prywatnym gimnazjum i z tej klasy wyrównawczej poszedłem od razu do klasy dziewiątej. Jak mówiłem, mam duże braki w wykształceniu z zakresu szkoły podstawowej.

Moja matka jest ^z1892 roku, miała lat 54 w 46 roku. Siostra poszła na ^ezrówkę na uniwersytet, na I rok stomatologii, potem choroba płuc, II rok, przerzuciła się na biologię o rok niżej i dyplom robiliśmy razem \hat{z} - ona miała 31 lat, ja mając 23 lata.

Zaraz po przyjeździe zameldowaliśmy się w Urzędzie Repatriacyjnym /PUR/, dostawaliśmy tam zapomogi, używane ciuchy. Moja mama miała tu przyjaciółkę, ~~panią~~ ^{matkę} ~~sióstrkę~~ Fides, która była przełożoną klasztoru sióstr Nazeretank, miała dużo darów ze Szwecji, wyszukała nam ubrania; ze mną był kłopot. Potem mama zaczęła pracować i wtedy zaczęło się nam powodzić - mogła nas dwoje wykształcić, nieźle zarabiała. W ogóle uważam, że lata do 49 roku, rok 48, było bardzo dobrze, może mi się zdawało w porównaniu ze Związkiem Radzieckim, ale mam wrażenie, że to był okres szczytowy dla okresu powojennego.

No i Miłanówek - "polski Londyn", moc inteligencji, cała warszawska inteligencja, trafiłem na dzieci z bardzo dobrych domów, z najlepszego towarzystwa. Na palcach można policzyć tych z nich, którzy wstąpili do partii, nie ma żadnego, żeby zrobić karierę polityczną, żeby był wyżej niż zastępca dyrektora. Wszyscy prawie dostali się na studia.

Ja zdawałem do szkoły filmowej, ^{ale} poszedłem ostatecznie na Politechnikę.